



w Warszawie kwartalnie rs. 1 k. 50; na prowincji, w Cesarstwie i za granicą półrocznie w Kopertach rs. 4 kop. 75. Numer pojedynczy kop. 15.  
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych i w Redakcji w Warszawie przy Ulicy Żabińj Nr. 956 u Jana Kantego Gregorowicza.

Treść Numeru: Z życia realisty, Obrazek przez Elizę Orzeszkową. (Dalszy ciąg). — Korespondencja z Paryża. — Pogadanka tygodniowa. — W pałacu i w chatce powieść Berthold'a Auerbach'a, przełożona z niemieckiego przez J. Belejowską (dalszy ciąg). — Wiadomości bibliograficzne. — O Ubiorach.

## OD REDAKCJI.

Od nowego roku 1869 Tygodnik Mód wychodzić będzie w tym samym co dotąd formacie i z temi samymi jak zawsze dodatkami. Niezależnie jednak od nich, dogadzając ogólnie prawie objawionemu życzeniu, od nowego roku raz na kwartał dołączać będziemy ryciny paryżkie kolorowane, przedstawiające ubrania dla mężczyzn. Nowy ten wydatek na użyteczność pisma poniesiony, zmusza nas do zrównania ceny prenumeracyjnej z ceną podobnego wydawnictwa w Warszawie wychodzącego, żeby zaś prenumeratę na stacjach pocztowych zarówno w Królestwie jak Cesarstwie ułatwić, z półrocznej zmieniamy na kwartalną, tak jak się to u innych pism praktykuje. Od nowego więc roku 1869, prenumerata wynosić będzie:

w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80  
na prowincji na stacjach pocztowych zarówno w Królestwie jak w Cesarstwie i w Redakcji  
kwartalnie Rs. 2 kop. 50  
półrocznie Rs. 5 — —  
rocznie Rs. 10 — —

Część literacka z jedną zawsze starannością będzie redagowaną z ciągłą dążnością do ulepszenia, do czego zapewniliśmy sobie pomoc nowych współpracowników.

Załatwiane także będą jak dotąd, za małym wynagrodzeniem sprawunki wszelkiego rodzaju: przesyłane będą formy na żądanie za opłatą od kop. 15 do 75 najwyżej, jak również i próbki wszelkich materji ze wszystkich magazynów warszawskich bezpłatnie.

Chociaż przy nowym urządzeniu pocztowem, dochodzenie pism perjodycznych do rąk Prenumeratorów będzie pewniejsze, pragnąc jednak pewność tę

zwiększyć, szczególniej co do dodatków do każdego numeru dołączonych, Tygodnik Mód od nowego roku 1869 wysyłany będzie na pocztę z Redakcji w kopertach.

Upraszamy o wczesne zapisy na stacjach pocztowych, wraz z spóźnieniami o nadsyłanie należności pod adresem:

Do J. K. Gregorowicza w Warszawie ulica Żabia N. 956.

## Z ŻYCIA REALISTY

OBRAZEK

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Czasem podawała mi pytania objawiające ciekawość przeczuwającej wiele, a mało świadomej duszy i ja nieskończoną znajdowałam rozkosz w stopniowym wprowadzeniu ją w świat wiedzy, który zadziwiał ją, olśniewał i zachwycał. Ze szczególnem zajęciem słuchała mnie, gdy językiem i sposobem przedstawienia rzeczy, zniżając się do jej niewprawnego w myślenie umysłu opowiadałam, jaki barwny epizod dziejów. Szczególniej tam gdzie była mowa o rycerzach, walkach, Ulana wyteżała całą uwagę swoją i zdawała się być porywaną obrazami, które jej stawiałem przed oczyma. Nieraz widząc jak słuchając mnie, prostowała swą wiotką kibić niby gotowa do wzięcia udziału w walce, opowiadanej i jak ogniem zapалу błyskały jej oczy, a po czole przesunął się to żywy rumieniec, to marmurowa bladeść wzruszenia, myślałam że może ona jest prawniczką owych sławnych wodzów i że w niej płynie ognista i szlachetna krew tych dawnych dzikich a poetycznych rycerzy, o których losach jej mówiłam.

Niekiedy opowiadałam jej o krajach obcych, dalekich, o górach, które szczytami toną w obłokach a o których to dziecię równin pojęcia nie miało, o wodach które spadają z takiej wysokości, jak dwa razy wieża zamkowa, albo rozlewają się tak daleko

i szeroko, że ani okiem dojrzeć można ich krańca, o miastach olbrzymich tak rozległych, jak ta cała równina, wśród której urodziła się ona i wzrosła, a tak pełnych ludzi, że wysokie domy i pałace, co tam jeden obok drugiego stoją, jeszcze ich wszystkich pomieścić nie mogą i zostawiają wielu nieszczęśliwych na bruku ulic, pod niebem gołym.

Słuchała mnie z wyteżoną uwagą, oczy jej spoczywały na mnie z wyrazem ciekawości, pierś podnosiła się powoli równym oddechem, a na twarzy malowała najżywsza rozkosz, jakiej doświadczyć mogła ta dusza pragnąca wyrwać się z oków ciemnoty.

Gdy kończyłam opowiadanie moje, składała spokojnie głowę na mój ramieniu i cicho mówiła.

— Wy panie, słowami swemi prowadzicie mnie prosto do nieba. Jak słucham was to mi się zdaje, że dla tego właśnie tak smutno mi całe życie było, że nikt nie potrafił mówić do mnie tak jak wy mówicie. Waszych słów i waszego głosu słuchałabym, dnie i tygodnie i rok i lata całe, słuchałabym wiecznie aż do śmierci a i po śmierci, żebyście usiedli na mojej mogile i tak do mnie mówić zaczęli, to zdaje mi się, że z pod zielonej trawy słuchałabym was jeszcze i wołałabym was słuchać jak iść do nieba.

— Czemu ty Ulano nie nazywasz mnie po imieniu? spytałam ją raz; czy wiesz jak mi na imię?

— O wiem, wiem panie! odpowiedziała, słyszałam kilka razy jak pan z zamku wołał was po imieniu. A piękneż, piękne wy macie imię, ja nie słyszałam nigdy takiego! U nas w wioskach nigdy takiego imienia nie dają! I pochyliwszy się ku trawie, którą bezwiednie rwać zaczęła — powoli, cicho mówiła jakby do siebie.

— Zygmunt... Zygmunt... Zygmunt...

I powtarzała to imię jeszcze wiele razy, zda się pieszcząc się jego dźwiękiem, z dziwną a rozmaistą modulacją głosu, w której drżała ciągle nieskończona miłość i pieszczota.

Nagle jakby ją nowa jakaś myśl uderzyła, podniosła głowę, spojrzała na mnie zamysłonemi oczami i rzekła.

— Ja myślę panie, że musiało być wielu królów i królewiczów, którzy to imię mieli?

— Zaśpiewaj że mi Ulano w nagrodę za to że mam tak piękne imię, odpowiedziałam z uśmiechem.

Opierała głowę na dłoni i śpiewała te różne ukraińskie dumki i pieśni, w których prostota słowa pięknie się łączy z pierwotną melodją, uważałam że głos jej coraz potężniejszym się stawał — silny i czysty, biegł po równinie i w niskich szczególniejszych tonach, drżał bezgraniczną energją uczucia. Raz po-



wiedziałem, że siostra moja śpiewa te same co i ona pieśni i wiele innych.

— Panie, zaczęła prosić, nauczcie mnie jakiejś nowej piosenki, jednej z tych, które wasza siostra śpiewa.

Zaczęłam ją uczyć Kaliny. Jestem pewny że gdyby Ułana od dzieciństwa kształciła się w sztuce, byłaby z nią znakomita śpiewaczka. Miała ona zadziwiające poczucia muzyczne i łatwość w przyswajaniu sobie słyszanych tonów.

— Jak wy pięknie śpiewacie panie! mówiła patrząc na mnie oczami pełnymi miłości, gdy ucząc ją nuciłam z cicha jedną ze strof smutnej piosenki. Po kilku lekcjach Ułana śpiewała Kalinę, wlewając w pieśń tę, właściwy jej głosowi ogień i głębię tonów.

Wieczory takie, które dwa a czasami i trzy razy na tydzień przepędzałam z Ulaną, miały dla mnie urok niewypowiedziany, mącony jednak często dziwną gorączką i bólem i jej i moim. Raz naprzykład mówiła.

— Póki was nie znałam panie, wszystko na świecie zdawało mi się cudze i ciemne, a teraz to jakbym z ciemności weszła tam gdzie słońce jasno świeci.

— A czemuż Ułana tak długo obojętna dla mnie była? pytałam.

— Oj panie, sokoło ty mój miły, jakby to wam powiedzieć, dla czego ja taka byłam? Ot wiele razy podchodził do mnie, ja czułam że wy blisko jesteście i jak wiedziałam że na mnie patrzycie, to myślałam że mi z piersi serce wyskoczy, i w oczach śmiało się czasem tak, że nie widziałam dobrze tego co robiłam. Ale myślałam sobie, że wy żartować chcecie z biednej dziewczyny, i Maryjka mówiła mi ciągle: nie patrzaj na panie, nie uważaj na to że on na ciebie patrzy, bo on pożartuje tylko, a ludzie ciebie wyśmiewają i potem nie będziesz mogła oczów przed ludźmi pokazać! A ja panie sama myślałam że Maryjka prawdę mówi, i jak bywało pomyślałam sobie że wy mnie za nic nie macie, i że chcecie żartować ze mnie, to zdawało mi się że was nienawidzę, a w sercu tak bolało, tak bolało że bym już nieżyć wolała. A teraz...

— Cóż teraz? pytałam biorąc jej rękę.

— Teraz ja wiem że wy nie żartujecie ze mnie, wierzę wam jak gdyby matce rodzonej, ale...

— Co ale?

— Ale jak czasem jestem sama jedna, i patrzę na niebo to zdaje mi się że z wysoka, z wysoka po promieniu słońca, zsuwa się ku mnie twarz mojej matki a taka żałosna, taka smutna, że mnie aż na płacz się zbiera. A ona mówi: nie płacz teraz Ułano — bo dość tobie będzie czasu na wypłkanie twoich młodych oczów, jak on pojedzie w dalekie światy, a ty sama jedna zostaniesz; między cudzymi ludźmi!

Mówiąc to kryła twarz w obu dłoniach i milczała długą chwilę w pośpijnych zatopiona myślach. A ja milczałam, bo co jej powiedzieć mogłam? sam czułam że lubo chwilowo złaczeni z sobą nieprzepartym pociąganiem, rozdeleni byliśmy przepaścią, której głębi zmierzyć nie śmiałam jeszcze — aby dowiedzieć się czy uczucie moje posiada w sobie dostateczną siłę do jej przebycia.

Łunym znów razem gdyśmy wedle zwyczaju naszego, siedzieli na spadziściści wzgórza pod gruszą, ujrzelśmy na drodze od zamku wiodącej, dwa szybko posuwające się czerwone światła. Droga ta biegła o kilka staj od stóp pagórka i prowadziła do dóbr księcia X. o parę mil od Hor położonych. Patrzyliśmy na zbliżające się światła, i wkrótce ujrzelśmy zaprzęzoną sześciu siwymi końmi karetę, która z głuchym prawie turkotem toczyła się od strony zamku. O kilka kroków przed kareta — obok lejcowych koni, jechało konno dwóch ludzi w kozackich strojach, trzymając w ręku kagańce, których czerwone płomienie wity się poziomo w powietrzu, zakończone wielkimi wężami dymu, i tryskających na wszystkie strony iskier. Niedaleko wzgórza droga była wąska i nieco pochyła, powóz zaczął wolniej się toczyć i gdy był na przeciw miejsca, na którym siedzieliśmy ujrzałam w całkiem oszklonej i oświetlonej wewnętrznej latarnią karecie. Bardzo piękną kobietę, która wpołnając czytała przy świetle umieszczonej w głębi powozu latarni. Od wiosennego chłodu, orzucona ona była szalem w bogatych fałdach spadającym wkoło niej, a bardzo jasne złotawe włosy tworzyły rodzaj wieńca nad białym pochylonym nad książką czołem. Była to księżna X. wracająca z odwiedzin u państwa L. Głuchy turkot powozu, lekki dźwięk uprząży, jaskrawy płomień kagańców i urodna postać pięknej pani oblanej srebr-

niem światłem latarni i orzuconej wschodnią drapeżą, wszystko to na tle półciemnego i cichego wieczoru, przemknęło przed nami jak świetne zjawisko i po chwili tylko kagańce błyszczały niby wielkie w powietrzu posuwające się gwiazdy i słysząc było głos stangreta księżnej, który wołał: z drogi! na spotkanie zapewne włściańskie wozy jadące do wsi.

Ułana długo wiodła wzrokiem za powozem i światłem kagańców potem opuściła twarz na obie dłonie i ciężko westchnęła.

— O czym tak myślisz, Ułano? spytałam.

Podniosła głowę i zobaczyłam dwa strumienie łez spływające z jej oczu.

— Co tobie? zawołałam, ujmując jej rękę.

— Oj panie! zawołała, czemu mnie Pan Bóg nie stworzył wielką panią!

— Ułano, odrzekłam, źle jest zazdrościć lepszemu losu innym a zresztą, albo ty myślisz że wielkie panie także cierpienie i smutków nie mają?

— O ja nie zazdroścę nikomu, zawołała z mocą i póki was nie znałam, nigdy mi takie zachcenia nie przychodziły do głowy. Ale teraz chciałabym mieć wszystkie bogactwa jakie są na ziemi, żeby je wam oddać panie, chciałabym być królową żeby na waszą głowę koronę ze złota i dyamentów włożyć! Chciałabym być wielką panią dla tego, żeby umieć to co wy umiecie i być wam równą we wszystkim.

— Alboż ty niewiesz Ułano, że i taka jak teraz jesteś mnie miła? pytałam patrząc w twarz jej z miłością.

— Oj panie, panie, odpowiedziała, jasny dzień prędko mija a po nim ciemna noc nadchodzi, i moje szczęście minie, zniknie jak słońce za chmurami, a wy przestaniecie mnie lubić bo ja prosta dziewczyna, a wam takiej pani trzeba jak ta co taka piękna pojechała czytając...

Nagle jakby jej coś przerażającego na myśl przyszło, zawołała.

— Panie! wszak to ja nawet czytać nie umiem! Złamała rękę, pochyliła się z bólem gwałtownym i skroń przycisnąwszy do zroszonej trawy, konwulsyjnie płakać zaczęła.

Z łatwością zwykle przychodziło mi uspakajać te bolesne jej uniesienia, bo lubo ognista niemniej jednak łagodna i miękka jej natura, legła w moim ręku jak wosk, któremu dowoli różne kształty nadawać mogłam, potrzebując na to zaledwie kilku słów miłości i prośby. Wszakże każda podobna scena robiła na mnie ciężkie wrażenie, po każdej czułam wyrzut sumienia, gorzki i niezadowolony z siebie samego. Mimo to magnetyczną pociągany siłą, siłą której zapanać nie mogłam, a może nawet mimo wiednie niechciałam, szedłam ile razy tylko mogłam pod gruszę, aby tam z Ulaną parę godzin przepędzić. W dzień widywaliśmy się rzadko, do sali robotnic wchodziłam tylko wtedy gdy istotna wymagała tego potrzeba, a i wówczas starałam unikać patrzenia na Ulanę i przywodziłam maskę zupełnej obojętności. Byłam pewny że tym sposobem potrafiłam odwrócić oczy ludzi od siebie i od Ułany, że nikt ani domysła się o tem, iż się widzimy tajemnie i że łączymy nas inny stosunek, jak zachodzący zwykle między rzadczą fabryki i robotnicą. Przyszłość miała pokazać że się myliłam, że nie przewidywałam złości, i zemsty niskiego człowieka, który mnie nienawidził.

Tak trwało kilka tygodni ale długo trwać nie mogło, abym zdołał wytrwać na stanowisku takim, jakie utworzyłam w stosunku moim z Ulaną musiałabym być więcej lub mniej niż człowiekiem. Olbrzymem woli albo przedwcześnie zwiędłym starcem. Nie byłam ani jednym ni drugim, byłam bardzo młoda a Ułana była pierwszą kobietą, która zachwyciła moje oczy i pociągnęła ku sobie serce.

Więc przychodziły chwile walk strasznych, szalonych, burz wewnętrznych.... Miłość moja dla Ułany miała dwie strony: jedną rzewną, serdeczną, pełną współczucia i uszanowania dla poetycznej dziewczyny i blądłej sieroty, drugą płomienną, gwałtowną, pełną burz i wulkanicznych ognii. Pasowały się z sobą te żywioły różne i szlachetne, zwyciężały długo ale mogły zawsze zwyciężyć? Nie śmiałybyśmy wówczas twierdzić ani przeczyć. Ułana także musiała być trawiona wewnętrzną jakąś walką, która w niej wrzała, bo gdy raz wszedłszy do sali robotnic, przy świetle dziennym spoglądałam na nią, przetrząsała mnie zmiana jej twarzy. Na bladych policzkach wybiły się teraz ciemne gorączkowe rumieńce, oczy podkrążone błękitnymi kołami świeciły fosforycznym złotawym blaskiem, cała postać nabrała wiotkości, przezroczystości nieledwie, a w ruchach znać było zmę-

czenie moralne i fizyczne. Gładkie jej czoło nawet zdawało się być opalone od tego ognia, który trawił to dziecko południa, bo powlekło się ciemną gorącą barwą. Gdy pierwszy raz zobaczyłam ją taką wróciłam do mego mieszkania, zamknąłem się w nim, a obejrawszy się i zobaczywszy że jestem sam jeden zawołałam:

— Tak dłużej być nie może!

I zacząłam myśleć... myśleć... myśleć...

Aż z szarą mgłą, w której pograżone były tak długo pojęcia moje i uczucia, wychylił się jasno wyraz: co robić? Było to pytanie, które konieczną konsekwencją przyszło do mnie musiało po wszystkich, jakie zadawałam sobie od kilku miesięcy, ale było też ono ostatnie, na które odpowiedź stanowczo miała zakończyć, odbywający się we mnie proces psychiczny. Przecież odpowiedź ta nie łatwą była do znalezienia. Duch analizy, którym dawniej przy wszystkich działaniach zwykłem się być posługiwać, odbiegł mnie i musiałem użyć całego wyteżenia umysłu do jakiego byłem zdolny, aby go napowrót odzyskać i wyraźnie postawić sobie przed oczyma położenie moje. Nakoniec po długich usiłowaniach zdołałem rozpędzić mgłę przeszkadzającą myśleniu memu i ujrzałem stanowczo zarysowane przedemną dwie drogi, z których jedną musiałem wybrać: rozstać się z Ulaną oddalając się od niej, lub ją oddalając od siebie, albo... ożenić się z nią.

Dziwacznie, śmiesznie prawie zabrzmiał w uszach moich ostatni ten wyraz, gdy jakby niedowierzając własnej myśli powtórzyłem go głosem i ustami. W ogóle rzadko myślałem o tem że się mam kiedyś ożenić; zajęty naukami i sposobieniem się do życia pracy, przeniknięty ważnością i użytecznością celów jakie przed sobą wytknąłem, nie miałem ani czasu ani chęci do oddawania się myśli podobnej, a jeśli trafem nasunęła mi się ona, to zawsze Bożek Hymenu ze swą weselną pochodnią, wydawał mi się czemś tak, tak dalekiem jeszcze odemnie że ledwie we mgle niewyraźnej przyszłości dojrzeć go mogłem. Raz w czasie pobytu mego w domu, Felicja mówiła mi żartując, że między przyjaciółkami swymi wybrała mi żonę; słowa te jej obudziły we mnie pytanie: kiedy ożenienie się będzie rozsądnym dla mnie postępkim?

I myślałem że wtedy chyba, gdy z pożytkiem dla siebie i innych przejdę już część życia, gdy materialem zdobędę sobie byt niezależny, a moralnie postąpię w sobie samym pewnością, że oprócz powinności obywatela kraju i pracownika, które religiją moją były, zdołam silnie i zaciebie ponieść też na siebie obowiązki człowieka rodziny. A miłość? miłość dla kobiety? o tej nigdy nie myślałem i nigdy nie widziałem jej na horoskopie mojej przyszłości, co więcej uśmiechałem się z niej skeptycznie i na zakonanych patrzyłem jak na rozmarzone dzieci. Małżeństwo, rodzinę, uważałem za instytucję społeczną, za kamień węgielny towarzyskiego ładu i obyczajów, ale bynajmniej nie za akt, któregooby dźwignią było uczuciowe uniesienie i nie za jedyną drogę do szczęścia.

Aż przyszła ta wyśmiana przezemnie i niespodziewana miłość i zaraz na początku drogi mojej, gdy nie jeszcze nie uczyniłam, ani dla siebie, ani dla ogółu, gdy zaledwie pierwszy krok postawiłam w życiu pracy, gdy ani materialnych podstaw nie zdobyłam sobie jeszcze, ani o moralnej sile swej nie przeświadczyłam się sam w sobie, stanął przedemną wyraz: ożenić się, oświecony łuną płonącej we mnie namiętności.

A więc zacząłem myśleć nad tem, czym jest właściwie ten związek dwojga ludzi ścisły, nierozdzielny? Tu rozum mój długo odepchnięty i zmuszony do milczenia ozwał się z całą siłą, i mścił się nad zwycięzkami przez czas jakiś uczuciami, stawiając przedemną zimne bez loiczne swoje wywody. Mówił mi on, że związek taki wtedy tylko nie jest nonsensem, nieszczęściem, ni kulą przywiązaną do nogi, jeżeli łączy dwoje ludzi, którzy dorosli jednej miary myśli i światła, jednostajnie patrzą na główne kwestje życia i nie przeszkadzać ale pomagać sobie mogą w dążeniu do tego, co postawili przed sobą jako ostateczny wynik życiowej swej pracy.

A ja tymczasem z kim połączyć się chciałem? z prostą wiejską dziewczyną, która ani pojęcia nie miała o tem, com ja najwięcej uczył i ukochał, dla której świat wiedzy będący dla mnie ziemią obiecaną był księgą zamkniętą, a życie takie do jakiego ja urodziłem się i przysposobiłem, tak obce i nieznane, jak wszystko co leżało po za granicami tej równiny,



śródt której wzrosła jak trawa stepowa — piękna ale dzika. Słowa wymówione przez Ulanę w chwili za-  
lu: „wszak ja nawet czytać nie umiem!“ przyszły  
mi na pamięć. Zadrżałem. I jażto miałbym się  
ożenić z kobietą, która czytać nawet nie umie, ja  
czciciel nauki, zakochany w niej od dzieciństwa,  
w niej widzący skarb własny i nadzieję ludzkości?  
niepodobna! wołał rozum.

Więc rozstać się z Ulaną? wyrzec się jej na zaw-  
sze? — niepodobna! wołała namiętność.

Rozrywany wciąż tą walką wewnętrzną stałem  
się posępny i cały pogrążony w sobie, aż w końcu  
z przerażeniem i najgłębszym wstydem spostrze-  
głem, że obowiązkową pracę moją nie spełniałem  
z tą samą co dawniej gorliwością i przytomnością  
umysłu.

Wprawdzie robiłem zawsze to co do mnie należa-  
ło, ale z tem roztargnieniem, z tym brakiem zupeł-  
nego oddania się, które wstrzymywały wszelki po-  
stępn w moich czynnościach i przeszkadzały potęgowa-  
naniu się wyników mojej pracy. Bo niezawodną  
jest prawdą że z pracy swojej tyle tylko człowiek  
wyciągnąć może prawdziwie zdrowych i potężnych  
rezultatów, ile włoży w nią zamiłowania i wewnętrz-  
nego swego ciepła. Działanie za jedyną przyczynę  
bytu mające obowiązek, sprowadza skutki tak lichy  
i pozbawione soków jak owoce, które bez słoneczne-  
go ciepła na drzewie dojrzeją. Gdy więc wszystkie  
myśli moje, i pragnienia, całe żywotne moje ciepło  
zwróciło się w inną stronę, wyniki pracy mojej ule-  
gły stagnacji i przestały się potęgować. Głęboko  
upokorzony byłem tem odkryciem, pragnąłem na-  
prawić to co uważałem za występstwo przeciw naj-  
świętszemu zadaniom mego życia, za zdradę położo-  
nego we mnie zaufania, ale daremnie! Między mną  
a wszystkim co mnie otaczało, stała twarz Ula-  
ny i ognistymi wypisane zgłoskami: co robić? Py-  
tanie to widziałem między cyframi rachunków, na  
każdym kole, na każdej sprężynie maszyn; leżało ono  
na okładce każdej książki, którą brałem do ręki,  
a gdy ją otworzyłem wiskalo się między litery i ma-  
ciło mi myśli zwracające się ku nauce. Ciężkiem  
doświadczeniem pojąłem wtedy jak człowiek owła-  
dnięty niezapokojoną i nieprzewycięzoną namię-  
tnością nisko upada, jak nieskończenie każda sprze-  
czność jego z sobą, każdy nielogiczny krok posta-  
wiony na drodze życia, paraliżuje najszlachetniejszą  
jego dążność i działania.

(d. c. n.)

## Korespondencja z Paryża.

Od bitwy pod Sadową, Francuzi stali się niezmiernie  
nie drażliwi i z dziwną skrętnością rozpatrują się  
sami w sobie wszystko widząc gorszym jak u sąsiada.

W Anglii powiadają uczonych jak mrowia, gdzie  
spojrząz to wszędzie dostrzeżesz jeżeli nie uczonego,  
to uczącego się. Tamtejsi gentlemani pełni dumy  
i zarozumienia, ale krew ich z pewnością szlachet-  
niejszą od wszystkich parów, hrabiów i baronów  
Francji, nie widzących dalej jak koniec swego nosa  
i nie dysputujących nad niczem tak żarliwie jak nad  
kapłanem z truflami. W Anglii samych stowarzy-  
szeń naukowych jest 120, których liczba członków  
dochodzi do 60,000 osób z kapitałem zapaśnym, wy-  
noszącym blisko trzy miliony franków.

Angielscy panowie lubią polowanie na lisy, lubią  
wycieczki na łód stały i nie gardzą niczem co uprzy-  
jemnia życie broniąc je od nudy i zniechęcenia. Mi-  
mo tego ci sami panowie angielscy z pracą, są zbra-  
tani niemal jak prosty wyrobnik, nie dla nich w prze-  
myśle lub rzemiośle nie jest tajnego, i z równą ła-  
twością od książki idą do młota, jak od najsłabszej  
czego pasztetu do kęsa czerstwiego chleba.

Francuzka magnateria to wędrownie ptastwo, niby  
wyżej wlatujące od wron i kruków, ale robi to dla  
tego żeby wzmocnić siłę trawienia i uraczyć się peł-  
nym puharem rozkoszy życia nie tracąc z niego na-  
wet kropelki. Czy z tego ogół co skorzysta, to ma-  
ło ją obchodzi: słucha co się w świecie dzieje bo ma  
uszy i nie może ich zatkać; widzi bo ma oczy, ale  
wołałaby zawsze sen niż czuwanie.

Sąd to za ostry chociaż z drugiej strony, noblesa  
francuzka nie może nawet iść w porównanie z gentle-  
menem angielskim. Oba te stany przeważnie są sa-  
molubne, ale gdy noblesa francuzka cały żywot swój  
spędza na niczem lub szperaniach heraldycznych,  
mało na dół zważając, gentleman angielski przeciwnie  
ma ciągle zwrócone ku niemu oczy i pilnie bada,  
czy się co nie psuje, lub nie woła na gwałt o po-  
prawę.

Z tych jednak gniewów i sarkau, dobro na kraj  
spływa szerokim strumieniem a świeżym tego dowo-  
dem otwarcie odczytów publicznych wyłącznie dla  
kobiet, pragnących wstępu w wyższe naukowe sfery.  
Jest tam historia państw i cywilizacji, dzieje natury,  
literatura, estetyka, nauki przyrodzone a nawet filo-  
zofia, z tej ostatniej streszczenie kilku odczytów na-  
deśle wam w tych dniach; stanowią one wstęp w któ-  
rym uczony profesor stara się wyjaśnić znaczenie filo-  
zofii, jej konieczność w dziedzinie badań ludzkich  
i drogi na jakich się rozwijała od najdawniejszych  
czasów. Jestem pewny że praca ta zajmie Czytel-  
niczki Tygodnika Mód, zwłaszcza że wykład jest nie-  
zmiernie jasny, nie błakający się w napuszonych ab-  
strakcjach i w mrzonkach niektórych mniemanych  
filozofów.

Wyszło tu równie dzieło nader ważne p. t. Histor-  
ja pracy (Histoire du travail) przez Feliksa Foucon.  
Autor w pierwszej części rozwija obraz pracy natu-  
ry, która ciągle czynna robi ziemię zdolną do miesz-  
kania na niej człowieka. Przedstawia w niej two-  
rzenie się skał, wapieni, gliny, marmurów, słowem  
tworzenie się ziemi, czyli, pokładu nieorganicz-  
nego całej cywilizacji. Następnie przechodzi do bu-  
dowy roślin, a choć przedstawia ciemności w tym ta-  
jemnym warsztacie natury, wykazuje jednak po-  
stępn nauki, która jeszcze niedawno bo przed trzy-  
dziestu laty zupełnie inaczej na ten się przedmiot  
zapatrywała.

Jeżeli ten postępn w tej samej mocy będzie się da-  
leż rozwijał, autor wnioskuje, że nauka przy końcu  
jeszcze naszego wieku, zdobędzie się na świadomość  
niektórych czynności przy budowie ciał żyjących.  
Byłaby to wielka zdobycz i dla tego godzi się wątpić,  
aby tak prędko stała się własnością nauki. Wykry-  
cie bowiem choćby niektórych z tych czynności, ja-  
kim sposobem z martwych na pozór pierwiastków  
tworzą się rośliny, pracujące na swoje wykształcenie,  
nie ożywiane żadną myślą ani samowolą: jakim spo-  
sobem te znów pobrane przez świat zwierzęcy prze-  
mieniają się w istoty pełne życia, a następnie u czło-  
wieka, myślącego i rozumującego, jest to odsłonie-  
cie wielkiej tajemnicy życia, dopatrzenie tego czego  
jeszcze nie zobaczono. Wprawdzie potęga nauki nie-  
ograniczona, ale termin zdaje się nam cokolwiek  
zbyt wczesny. Za małą jeszcze garstką ludzi zajęta  
badaniami poważnymi, chcąc bowiem w potęgę tak  
wielkiej zrobić wyłom, trzeba równie potężnego młota  
dźwiganego nie ręką setek, ale niemal milionów.

Przedstawiając autor pokłady cywilizacji w każ-  
dej stronie świata, przechodzi wreszcie i do ludów  
zamieszkujących je, robiąc staranny przegląd wszy-  
stkiego tego co człowiek dokonał. Nie oszczędzając  
Francji, stawiając niżej od Niemiec i Anglii, przepo-  
wiada jej straszliwy koniec, jeżeli nie rzuci staręj  
szaty i nie przedziernie się w człowieka rozważnego.  
O słowiańszczyźnie mówi bardzo niepoehlebnie, za-  
rzucając jej niedbałość w korzystaniu ze wszystkich  
przymiotów swęj miejscowości. W zarzutach tych  
jest wiele prawdy ale wiele i powierzchownego sądu,  
wykazującego małą znajomość rzeczy. W każdym ra-  
zie jest to praca bardzo interesująca, przedstawia bo-  
wiem historję postępn umysłu ludzkiego na drodze  
nauki i wynalazków. Gdyby nie zbyt materialne  
stanowisko z jakiego autor rozwija swoje badania,  
możnaby ją nawet nazwać znakomitą.

Jazda powietrzna choć nie wiele o niej mówią, ale  
nie jest zaniedbana. Założone dwa towarzystwa ae-  
ronautów jedno we Francji, drugie w Anglii, ciągle  
robią próby i wzajemnie udzielają sobie spostrzeżeń  
zdobytch na drodze doświadczenia. Francuzkie na-  
wet towarzystwo wydaje pisma w miesięcznych po-  
sztytach, pod tytułem Aeronauta, w którym pomiesz-  
cza sprawozdanie rozjaśniające to trudne zadanie.  
Praca jednak Anglików większej jest wagi, mniej się  
oni bawią a więcej myślą o celu, mniej zajmują się  
drobnostkami a więcej kwestję uogólniają, pragnąc  
wszelkimi siłami zapanować nad nią. Towarzy-  
stwo angielskie mieści w swem gronie największych

magnatów nieszczędzących ani czasu, ani trudów,  
ani mienia aby tylko żeglugę powietrzną tak zrobić  
powolną woli człowieka, jak nią jest jazda po morzu  
lub kolejach żelaznych. Dotąd jakkolwiek nie wie-  
le zrobili, ale postępn w zdobyczach widoczny i kto  
wie, czy kiedyś ludzkość nie weździe się w dziedzinę  
dla ptaków jedynie przeznaczoną. Jeżeli kiedy ta  
szczęśliwa chwila nastąpi, to z pewnością winni ją  
będziemy Anglikowi, który jak chwyci się jakiej  
myśli, tak jej nie porzuca przez całe życie, a nawet  
zostawia ją spadkobiercom w rozporządzeniu testa-  
mentowem.

Istny to sępn rzucający się na zdobycz, nie go nie  
zrazi, przeciwnie, każda przeszkoda zapala jak char-  
ta mkącego za uciekającym zającem. Po stu po-  
myślach i próbach daremnych wymyśli setną pierw-  
szą, a nawet tysiączną jeżeli tego potrzeba, a nigdy  
nie załamie rąk z rozpaczą, nigdy nie powie, to nie  
podobna ja tego nie zrobić.

Wystawa aerostotyczna odbyta w Londynie, Fran-  
cuzom niezmiernie pokwasiła humory. Były na niej  
przedstawione głównie machinki do nadawania ba-  
lonom dowolnego ruchu bardzo lekkie i małe. Po-  
ruszały je para, bawełna strzelnicza, gaz i olej. By-  
ły także przyrządy do latania w powietrzu a raczej  
do ułatwienia biegu, aby go zrobić lżejszym i nie ty-  
le męczącym: były latawce, kotwice i pokosty do po-  
wlekania balonów, ale najliczniej znajdowały się  
modele i rysunki, mające na celu ułatwienie wzno-  
szenia się i spuszczenia na ziemię używanymi dziś  
balonami.

Jeden z tych modeli tłómaczył sposób latania,  
przy pomocy skrzydeł i ogona, drugi objaśniał skład  
i ruch skrzydeł u ptaków i owadów, pomimo jednak  
takich dowodów czynnego zajęcia się podróżą po-  
wietrzną, wystawa dowiodła nie tyle niemożności  
mechanicznego lotu, ile zupełnej nieużyteczności  
przedstawionych przyrządów. Niezrażeni tem człon-  
kowie Towarzystwa postanowili i w roku przyszłym  
urządzić podobną wystawę, mając nadzieję że prę-  
dziej później dojdą do zamierzonego celu.

Na tegoroczną wystawę trwającą dni dziesięć,  
wyznaczone były następujące zdania naukowe.

Wynalezienie latawca przy pomocy którego, mo-  
żnaby się znieść pomiędzy okrętem tonącym a idą-  
cym mu w pomoc. Nagroda 1,240 franków.

Przygotowanie przyrządu poruszanego siłą dowol-  
nie obraną, któryby się utrzymywał i kierował w po-  
wietrzu na wysokości przynajmniej stóp dziesięć  
przez pięć najmniej minut. Nagrody franków 1000.

Dwa tysiące franków ofiarowane były przez księ-  
cia Sutherland wynalazcy maszyny, która nie będąc  
ani balonem, ani latawcem podniosłaby się z czło-  
wiekiem na wysokość 120 stóp. Taką samą nagrodę  
2000 franków przeznaczono dla wynalazcy maszyny  
najlepszej, w stosunku do użytej siły, której wybór  
zupełnie zostawiono dowolny.

Wszystkie te zadania pomimo swęj trudności  
miały po kilkunastu wystawców, jeden jednak po-  
myśl zwrócił na siebie szczególną wszystkich uwagę.  
Była nim machinka parowa o sile jednego konia  
ważąca tylko funtów dwanaście. Wyrok sędziów  
przysięgłych jeszcze nie wiadomy i ten dopiero nas  
oświeci o postępie jazdy powietrznej.

Jeżeli doniesienia nie są przesadzone, to z Amery-  
ki spadnie na Europę powódź srebra z odkrytych  
świeżo kopalni tego kruszcu, równie bogatych jak  
znajdujące się w Peru i Meksyku. Kompanje zaj-  
mujące się tam wydobywaniem rudy dostarczają sre-  
bra rocznie na 80 milionów franków, co stanowi pra-  
wie połowę tej ilości jaka dotąd Ameryka dostarcza-  
ła. Zwiększenie więc tak znaczne drogiego tego  
kruszcza nie jest rzeczą małej wagi, dziwna tylko  
rzecz gdzie się podziewa po zmienieniu go w men-  
nicy na błyszczące złotówki i talary?

Monety świat używa od najstarożytniejszych cza-  
sów; bito ją na wiele wieków przed Chrystusem, Rzy-  
mianie rozrzucali miliony sestersów na fraszki i wy-  
szukane przysmaczki, przybywała więc ciągle a ni-  
gdy nie ubywała, mimo tego wieku naszego brzęczą-  
cym żadnym sposobem nazwać nie można. Wy-  
rachowano długość drutów telegraficznych opasują-  
cych ziemię, z których możnaby podwójny sznur



ułożyć z ziemi do księżycy, dla czego nie zadał sobie ktoś pracy obliczenia powierzchni, jakaby zajęła moneta ułożona sztuka przy sztuce wybita po dzień dzisiejszy? Kto wie czyby ziemia cała na jej pomieszczenie wystarczyła.

Oprócz balonów i spodziewanej powodzi srebra, Paryżanie zajmują się teraz, szczególnie dwukolnemi Velocipedami, z którymi można się wszędzie spotkać. Powodujący nimi pokazyują na drogach bitych cudów zręczności, pędzą jak wichry, wymijają powozy i gdyby nie przeszkody co chwila spotykane, kto wie czyby z wyścigowem końmi nie mogli pójść w zawody. Mimo jednak tej szybkości, podróże odbywają bez żadnego wypadku, a przechodzący mimowoli zwracają głowy na tych strusiów ludzkich, zamiast skrzydeł wspierających się nogami. Wózki jednak te dopiero wtenczas staną się prawdziwie użytecznymi, jeżeli zdołają chodzić po każdej drodze i we wszystkich porach roku. Gdzie tylko bowiem jest potrzebną siłą pociągowa naprzd, jak pod górę lub w błocie albo śniegu, tam jazda wózkami jest niepodobną, bo i męczy bardzo jeźdźcę i naraża cały przyrząd na zepsucie. Wprawdzie siłą rozpędu można mniejsze góry i kałuże przebywać ale na bocznych drogach zwykle zaniedbanych, rozpęd jest nie wielki rachować więc na niego zupełnie nie należy.

Pomysł wózków albo samochodów nie jest nowy, zjawiał się on pierwszy raz jeszcze w r. 1808, ale wówczas mechanizm jego był w kolebce i jeźdźceni nadawali ruch odpychaniem się nogami od ziemi. W roku 1830 urządzono je tak prawie jakimi są dzisiaj i rozdano roznosicielom listów po wioskach w obrębie stacji pocztowej. Zarzucono je jednak bo pokazały się niepraktyczne i teraz je po raz trzeci przywołano z zapomnienia. Dziś ulepszeniem przyrządu zajmują się gorliwie różni fabrykanci i mechanicy i z tą to taki nawał jeźdźców wózkowych na ulicach Paryża. Jeżeli ulepszenie to nastąpi, samochody stać się mogą bardzo użytecznymi w przebieganiu drogi od wioski do miasteczek. Zastąpią one w takich razach konną jazdę, zwłaszcza że przy wprawie i dobrej drodze nader mało męczą.

Dziwić się tylko należy dla czego dotąd tak zaniedbane były.

## POGADANKA TYGODNIOWA.

Chociaż między porami roku wybierać nie wypada, i każdą należy przyjmować z jednym nadskokiem i grzecznością, zimą jednak trudno się zachwycić, zwłaszcza gdy się zbliża do nas z tak nieznosnymi grymasami jak tegoroczna. Widać że ta wszechwładna pani końca i początku roku zawsze dla ludzi była niemiła, bo nie tylko że za symbol dano jej postać starca drżącego od zimna i okrytego łachmanami, ale nadto nazywano ją leniwą, gnuśną i zakuchnicą nawet niewdzięczną i ladaco. Najbardziej dogryzano jej przezywaniem *starą*, do czego była jednak pewna zasada, zważywszy długą ciekawość naszej kuli ziemskiej, zawsze jednak dla zimy jako damy należała się pewna względność i wyrozumienie.

Ojcowie nasi rozważając zmienność tej pory, nadająca ziemi niemal codziennie inną zupełnie powierzchowność, powiadali, że

Zima stara dygi wyprawując,  
Czołga się łyso lub włos biały skazując.

Jakimi dygami obdarzy nas w tegorocznym swem panowaniu trudno przewidzieć, ale dwie przepowiednie jedna zwyczajną, druga pilnej obserwacji zgadzają się dosyć z sobą. Pierś bowiem gęsia św. Marcińska zapowiada śniegi i zimę prawdziwą dopiero od Stycznia: słynny zaś meteorolog Mathieu de la Drôme wróży przez Listopad i Grudzień ogromne dla Francji powodzie wody, z których i nam jako pod względem meteorologicznym małą z Francją przedstawiającą różnicę, cząstka się dość spora dostanie.

Co będzie, zobaczymy; wierzyć bowiem wieszczbom i prorokować nie zawsze bezpiecznie.

Mówiąc jednak o zimie ubóstwo mimowoli przychodzi do myśli. Być źle odzianym, licho nakarmionym, mieszkać w izdebce nieopalonej, źle opatrzonej, kiedy na dworze wiatr przewiewa przez najcieplejsze futra, a mróz skrzypi pod nogami, straszna to rzecz.

A znajdzie takich biedaków wszędzie, szczególnie po miastach wielkich, pochłaniających stopy zamorskich frykasów i roniących jednocześnie strugi łez wyciśniętych nędzą i niedostatkiem. Rzecz to jednak bardzo naturalna. Na wsiach w osadach mniej skupionych jak miasta, mniejsza ludność w jednym punkcie zebrana, mniejsza i bieda zasługująca na wsparcie publiczne. Gdzie zaś się znajdzie prawdziwie biedny, tam znają go wszyscy i każdy czem może bez własnej ruiny wspiera biedaka, bo miłosierdzie jest koniecznością ludzkiego serca nawet w najbardziej zepsutym człowieku. Tam oszust, żebrak nie znajdzie poparcia i jeżeli zapragnie być wyzyskiwaczem tej chrześcijańskiej cnoty, rusza w świat między obcych, pomiędzy którymi pozorem łatwiej zastąpić rzeczywistość. Szuka więc miejsce najwięcej zaludnionych, bo gdzie wiele ludzi, tam wielu łatwówiernych, i ztąd to roje żebractwa na wszystkich odpustach, jarmarkach, przy cmentarzach, kościołach, przy stacjach pocztowych, przystankach kolei żelaznej i po ulicach miast większych, a szczególnie Warszawy.

W mieście takim jak nasze, rzecz inna zupełnie. Prawdziwa bieda zwykle cicha i skromna, nawet wstydząca się czyż może być znaną ogółowi, tak jak to na wsiach i małych miasteczkach ma miejsce? — Gdyby poznanie to było możebnem, jestem najsumienniejszym przekonany, że sypnęłyby się tysiące dla takich biedaków, i nędza z grodu naszego raz na zawsze wygnana zostałaby. Wprawdzie podawanie wiadomości o prawdziwie nieszczęśliwych przez prasę periodyczną, posługuje niby w tym razie, ale czyż wszystkim tym publikowanym opisom można wierzyć? — Czyż nie zakrada się tam zbyt często oszustwo, o czem niejednokrotnie przekonali się delegaci przez Towarzystwo Dobroczynności do sprawdzenia wyznaczeni? — Wieluż równie oszustów włócząc się po Warszawie wyciąga ręce wszędzie, po ogrodach, placach, sklepach, magazynach, cukierniach, jadalniach, przy straganach z owocami, nawet po domach piętrach i mieszkaniach? — Cóż więc dziwnego, że oszukany nieraz choćby najlitościwszy, zarzeka się wsparć wszelkich i głuchym się staje na prośby nawet istotnie potrzebnych?

Dla nędzy prawdziwej szkoda to niepowetowana i ztąd to w miastach większych obok przepychu i wygód nieraz zbytowych, nędza umiera z głodu i zimna, chociaż na dobrych chęciach u ogółu nie zbywa. Żeby więc te chęci w czyn się zamieniły, konieczną jest organizacja miłosierdzia publicznego. W osadach mniej zaludnionych wypływa ona z naturalnego biegu rzeczy, z możności znania położenia każdego biedaka; w miastach więcej zaludnionych jest to niepodobieństwem i niemożnością tę musi odpowiednie urządzenie czyli organizację zastąpić. Ale jak tego dopełnić?

Przedewszystkiem zdaniem mojem, należy wytypić żebractwo uliczne. Wypędzić go przez wydalenie do rodzinnego miejsca, to nie jest wytypienie. Żebrak tam jako znany wszystkim próżniak, nie znajdzie chleba w ilości mieszkańców a do pracy się nie weźmie bo go nikt nie przyjmie jako próżniaka. Pójdzie więc w obce strony i znowu ściągnie do Warszawy i tak będzie bez końca z fatalnym wpływem jako złe na ogół.

Żeby temu zaradzić, sądzę że myśl pana L. pomieszczona w Kurjerze Warszawskim, utworzenia z żebraków zdrowych i silnych kompanii roboczych z przeznaczeniem ich do pracy przy robotach rządowych, miejskich i prywatnych, byłaby najpraktyczniejszą. Dla podobnych bowiem zadaniom próżniaków, praca to plaga której lekają się jak ognia, jak moru, tym dla nich nieznosniejsza że przymusowa. Wybierając więc z dwójga złego, poddadzą się później sami jakiemu stałemu zajęciu, ale mądrzy doświadczeniem przestrzegają dziesięciu podobnych sobie, aby do Warszawy nie chodzili bo tam każą pracować, a za pacierze i grosza nie dadzą. Kaleków możnaby pomieścić w oddzielnych schronieniach, starców otoczyć opieką, jaka im przysługuje. Zająłszy się w ten sposób z żebractwem, wówczas śmiało możnaby się odezwać do całego ogółu Warszawy, aby uwolniony od wszelkich datków doraźnych, ofiary sypane przedtem na chybił trafił, składał na rzecz Towarzystwa Dobroczynności, które jako instytucja uorganizowana i tak zaszczytnie spełniająca swoje zadanie, ubogiego każdego rozpozna i weźmie w opiekę na jaką zasługuje.

Gdyby myśl tu rzucona znalazła z czasem urzeczywistnienie, można niemal na pewno wnosić, że mie-

libyśmy biednych ale nie nędzarzy. Warszawa bowiem jakkolwiek nie grzeszy bogactwem, zawsze jednak posiada 10,000 takich mieszkańców, co datków dla biednych nie skąpią. Pomiędzy nimi znam ludzi zupełnie niezamożnych, co każdego dnia dają trojaka każdemu pierwszemu żebrakowi spotkanemu na ulicy. Rocznie uczyni to pięć rubli przeszło, ale są i tacy co rozdają po dziesięć, dwadzieścia i trzydzieści rubli w ciągu całego roku. Gdyby więc liczyć w przecięciu dziesięć rubli na osobę, dziesięć tysięcy złożyłoby ogromną sumę sto tysięcy rubli, które przy dzisiejszych funduszach Towarzystwa Dobroczynności cudowne w skutkach okazałyby się mogły. A cyfra to zupełnie nie przesadzona, jeżeli zważymy że w Warszawie nie dziesięć, ale przynajmniej trzydzieści tysięcy osób wspiera ubóstwo jałmużną.

Zajęcie się myślą tu podaną, wyjednanie pomocy do jej wykonania, zdaje mi się że najwłaściwszem byłoby dla Towarzystwa Dobroczynności. Posiadając tylu członków z tak wielkiem poświęceniem przyjmujących na siebie obowiązki szafarzy publicznego miłosierdzia, mamy prawo spodziewać się że nowy ten trud przyjmie chętnie, i wedle swego wyznania myśl przewodniczącą mu wprowadzi w wykonanie. Dla wiejskich Czytelniczek Tygodnika naszego, rozprawa ta o środkach usunięcia żebractwa Warszawskiego jako zbyt miejscowa, może się wydać mało zajmującą. Nie powinna być jednak taką: ból nawet jednostki cierpiącej niezaskuszenie, to wpływ złego ustroju społecznego: złe w jednym zakątku rozwinięte to groźba dla wszystkich choćby najdalej od niego odsuniętych. Solidarność ta między jednostkami i ogółem to prawda wiekami sprawdzona; gdy więc gdzie jest coś złego, wszyscy w niem rozpatrywać się winni, wszyscy mu zapobiegać są obowiązani. Wytypienie żebractwa Warszawskiego, zniszczy je w miastach większych prowincjonalnych, a przestawszy być stanem, przestanie ścierać do swych szeregów nowych ochotników. Z tą większe zamilowanie pracy, powiększenie rąk pracujących, pojęcie najprzód z musu a później z przekonania konieczności pracy, i próżniak stanie się robotnikiem a nie ciężarem publicznym i robotnik pilnym pracownikiem, a ten przemieni się w zdolnego i tak pomatu pójdzie od najniższych warstw do najwyższych bo jak złe tak i dobre jest zaraźliwe.

Że organizacja miłosierdzia publicznego jest rzeczą nagłą, świadczą najlepiej różne artykuły pomieszczane od czasu do czasu w pismach publicznych a głównie pomocy biednych przeznaczone. Pan Makowiecki w Tygodniku Ilustrowanym przedstawił projekt założenia taniach garkuchni ludowych, wymagających trzystu rubli nakładowego kapitału, który za pomocą akcji trzy rublowych mógłby być zebrany. Myśl to z pewnością i bardzo praktyczna, nawet p. W. pierwszy należytości za jedną akcję w redakcji Kurjera War: złożył, główna tylko trudność, kto się zajmie wykonaniem ułożonego planu? U nas czasem łatwiej o pieniądze jak o nadanie właściwego im kierunku, gdyby zatem ciężar ten chciał przyjąć na siebie sam pan Makowiecki, wykonanie byłoby zapewnione. Inaczej spełnienie pewno na niczem.

Inni znow projektują datki od wygranej w karty: jedna z młodych gospodyń namawia do składania malutkich domowych oszczędności na rzecz ubóstwa; są nawet domagający się opadatkowania w tym celu starych kawalerów, ale wszystko to są środki do powiększenia funduszu na dobroczynne cele, ale nie niszczą złego ani mu zapobiegają. Ludzie więc krztają się nie na żarty około publicznego miłosierdzia, jedna tylko kompania drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, nie może się jakoś pogodzić z koniecznością przyniesienia ulgi biednym. Krzyczano długo i głośno za okryciem wagonów klasy czwartej, że to wreszcie aż doszło do wiadomości zarządu. Pokazały się więc wagony z okryciem, ale bez ławek do siedzenia, co naddano w górze odjęto ze środka, zasłonięto od wpływów atmosferycznych, a skazano na nieznosne stanie, którego nie wszystkie nogi mogą wytrzymać. Zrobiono to podobno z obawy aby przypadkiem nie rzucili się wszyscy jadący klasą trzecią do czwartej, gdy ta z droższą żadnej nie będzie przedstawiać różnicy. Ale bezzasadne to przypuszczenie; wszak dwie pierwsze klasy oprócz powierzchni ozdób żadnej w wygodzie nie przedstawiają różnicy, a jednak jeżdżący pierwszą klasą nigdy drugą nie pojadą i to nie dla dumy lub marnotrawstwa pieniędzy, ale dla towarzystwa jakiego



szuka każdy podróżny dla siebie, grupującego się zwykle wedle zasobów, zamożności lub wreszcie u-  
sposobienia. Kto więc jeździ trzecią klasą, jeździć  
nią nigdy nie przestanie i nie przeniesie się do  
czwartej, choćby wygodniej urządzoną. O ławki  
zatem na gwałt prosimy dla wagonów klasy czwar-  
tej, przez wzgląd na matki z dziećmi, na starców  
i osłabionych.

Obecną porę można nazwać koncertową. W nie-  
dziele w południe dany był koncert na korzyść za-  
służonego artysty i pisarza Stanisława Bogusław-  
skiego. Był on prawdziwie zasłużonym i należał  
się dawno, bardzo dawno. W godzinę później w tym  
samym salonie Resursy obywatelskiej w obec tysią-  
ca słuchaczy, orkiestra pod dyktando panów Lewan-  
dowskiego i Kubnego odegrała drugi koncert  
z zadowoleniem, chociaż nie wszystkich. Poważ-  
niejsze bowiem rzeczy, a mianowicie wymagające  
subtelności cieniowania wszystkich tonów i instru-  
mentów, nie udają się zupełnie: w wykonaniu znać  
brak wprawy i wyrobienia. W trąbce zaś solowej,  
takie sapanie i syczenie, że łatwiej uciec za dziesią-  
tą granicę, jak słuchać podobnie mordującego gra-  
nia. Nie domagamy się doskonałości, ale wszystko  
czego słuchamy niechże znośnem przynajmniej bę-  
dzie.

Koncerta pod dyktando p. Münchejmera przerwa-  
ne chwilowo, na nowo się rozpoczęły z czego raduje-  
my się wszyscy. Dobór bowiem sztuk odgrywa-  
nych doskonały, wykonanie wyborne, tylko... ta ce-  
na wejścia gdyby mogła być mniejszą.

Benefis dla pani Modrzejewskiej udał się przewy-  
bornie, bo oprócz benefisantki, tacy artyści jak Kró-  
likowski, Rychter, Chomiński i Swieszewski, byli  
zbyt silną pętlą dla ciekawej publiczności War-  
szawskiej, aby można się jej było oprzeć. To też  
bileta wszystkie rozsprzedano i teatr napełnił się od  
dołu do góry, głowa przy głowie licznie zebrani  
widzami.

## Majowy sen.

Czoło moje w krąg obwiał wieniec takiej woni  
Jakby węń wiosna wplotła wszystkie swoje kwiaty...  
Nie — to oddech mój świętej, co na mojej skroni  
Oparta gorejące śnieżnych lic szkarłatny...

Cicho! — Chóry cherubów przyszyły przed Jehowę  
I pieśni archanielskie rozbrzmiały po niebie...  
Nie — to ma jasnowłosa przez lzy kryształowe  
Wyszeptala mi cicho: kocham, kocham ciebie!

I nagle, ziemia, słońce, z przed oczu mych giną  
I olbrzymie w przestworzu zataczają koła,  
Bo... bo ma uwielbiona, usteczka z karminu  
Z rozkoszą do mojego przytuliła czoła...

Adam Maszewski.

## W PAŁACU I W CHATCE

POWIEŚĆ

Berthold'a Auerbach'a,

przełożona z niemieckiego

PRZEZ

JOANNĘ BELEJOWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

XVI.

W dolinie cały dzień deszcz padał. Grad spadł  
na wysokościach u podnóża gór zamienił się w deszcz,  
i tylko czasami jasnym zajaśniało błękitem,  
jakby zawiadamiając tym sposobem, że w górach pię-  
kna panuje pogoda.

Nad wieczorem rozpogodziło się; królowa i damy  
dworskie a w ich liczbie Paula z matką, siedziały  
w salonie którego drzwi wychodzące na ogród były  
otwarte; Paula dziś po raz pierwszy miała śpiewać  
w obec królowej. Ciemność zalegała widnokrąg;

król nie dawno wrócił z polowania i grał w karty  
z Guntherem.

Lokaj dworski przyszedł zawiadomić Gunther'a, że  
człowiek jakiś czeka na dworze, mówiąc że potrzebu-  
je widzieć się z nim koniecznie. Król zezwolił aby  
Intendent zastąpił doktora który wyszedł zaraz; wuj  
Piotr czekał na niego wsparty na góralskim kijku,  
z kapeluszem w ręku. Zobaczywszy Gunther'a, się-  
gnął do kieszeni, i rzekł.

— Oto list do pana.

Gunther przeczytał, przetarł oczy, posunął ręką  
po czoło, jakby dla przekonania się że nie marzy.

— Kto cię z tem przysłał? zapytał.

— Musić to tam być napisane, — nasza Ermen-  
garda.

Gunther rzucił w około przerażone spojrzenie,  
usłyszawszy tę odpowiedź przed drzwiami salonu,  
w którym był król i królowa...

Przysunął się do lampy płonącej w korytarzu,  
i odczytał powtórnie odebraną kartkę:

„Córka Ewerarda przyzywa Gunther'a.“

I człowiek ten tak znany z mocy nad sobą, za-  
chwiał się i musiał oprzeć o balustradę schodów, —  
parę chwil słowa wymówić nie mógł. Nareszcie pod-  
niósł oczy; spotkał wejrzenie wuja Piotra.

— Kto jesteś? zapytał nareszcie.

— Jestem wujem Walpurgi, matka jej była mo-  
ją siostrą.

— Dobrze, zaczekaj przed domem, przyjdę na-  
tychmiast.

Wuj Piotr oddalił się, a Gunther musiał przyzwać  
całą moc jaką miał nad sobą, aby gdy wróci do  
salonu twarz jego nie zdradzała co się działo w du-  
szy, i aby mógł spokojnym głosem prosić o pozwole-  
nie dla odwiedzenia osoby bardzo niebezpiecznie  
chorój. Na szczęście spotkał Paulę i Bronen'a wrac-  
ających z ogrodu.

— Paulo! zawołał, przysłój mi kapelusz który  
pozostał w salonie, a ty, kochany Bronen, wyłomacz  
mnie ich królewskim gościom, gdyż muszę niezwłocz-  
nie biec do chorego. A dla usunięcia niespokojno-  
ści, powiedz, Paulo, matce, że pewnie na noc nie  
wrócę do domu.

— Czyż doktor Syxtus nie mógłby cię zastąpić,  
zapytał Bronen.

— Nie. Proszę nie pytać mnie o nic i nie od-  
mawiaj żądanej przysługi; wrócę zapewne nad ran-  
kiem.

— Narzeczeni weszli do salonu i niebawem słu-  
żący wyniósł Gunther'owi kapelusz.

Natychmiast udał się w drogę z wujem Piotrem,  
i raz tylko obrócił się aby spojrzeć na oświetlone  
okna salonu, myśląc o znajdujących się w nim  
osobach, które ani się domyślały że chodziło o rzecz  
tak blisko ich dotyczącą. Dochodząc do swego do-  
mu, odwrócił się do Piotra, zapytując:

— Cóż jest chorój? na cóż się skarża.

— Ona nie skarży się nigdy, tylko teraz ma mo-  
cną gorączkę i od jakiegoś czasu często kaszle.

— Czy ma przytomność?

— Jest zupełnie przytomna, tylko jak mówi Gun-  
del, moja córka, we śnie często się zrywa, wołając:  
„Zwycięztwo!“

— Proszę zaczekać tu na mnie, rzekł Gunther  
wchodząc do domu, każe ci podać czem się posilić;  
tylko nie wspominaj nikomu od kogo przychodzisz.

Gunther zabrał co prędzej lekarstwa i kordjały  
kazał je zapakować i umieścić na mule, i zaraz  
wsiadł i jechał w towarzystwie wuja Piotra, pie-  
chotą idącego obok.

— Ile potrzeba czasu, żeby przybyć do chorój?

— Piechotą można zająć we dwie godzin, czasem  
nawet prędzej, na mule godzinę dłużej.

Wjechawszy do lasu, Gunther zapytał znowu:

— Więc jesteś wujem Walpurgi?

— Tak.

— Jakże się nazywa chora?

— Imię jej Ermengarda.

— Jak dawno jest z wami?

— Od czasu jak Jan kupił tę fermę. Przybyła  
wtedy razem z rodziną z nad brzegów jeziora. Po-  
wiadają że chorowała i potem cierpi na umysł, ale  
ja temu nie wierzę, bo jest bardzo przytomna i pre-  
dziej za nadto niż za mało ma rozumu.

— A czy nie znasz jej rodzinnego nazwiska?

— Nigdy nie pytałem jej o nie.

Daliej wuj Piotr, ze zwykłą sobie pocziwą pro-  
stotą opowiedział, jakie życie wiodła Ermengarda  
przez te lat kilka, jak zawsze nosiła opaskę na czo-  
ło, którą zdjęła dopiero na almie, a mówił tak jakoś  
rzewnie i serdecznie, że wzruszony Gunther podał  
mu rękę mówiąc:

— Widzę że jesteś zacny i pocziwy człowiek.

Strumienie wody tu i owdzie przerzynały drogę,  
a wuj Piotr opowiadał o wczorajszej burzy i o stra-  
chu jakiego narobiła ludziom; potem mówił jak mu  
się udało oddać przysługę młodemu niewiedomemu  
i o daniej mu przez niego obietnicy. Gdy wjechano  
na równinę, Gunther zsiadł z muła i powiedział Pio-  
trowi, aby zajął jego miejsce; wzbraniał się długo,  
ale nareszcie posłuchał; jednak gdy znowu przyszedł  
wdzierać się na górę, zsiadł zaraz z muła i zmusił  
prawie doktora do zajęcia na nim miejsca.

Nie dość na tem, ujęty uprzejmą dobrocią doktora  
wieśniak, chcąc mu się odwzajemnić, rzekł:

— Jeśli nasza Ermengarda postanowiła nas  
opuścić, to całem sercem powierzę ją panu doktoro-  
wi. Ślicznie gra na cytrze, i jak wróci do zdrowia,  
przekonasz się pan że umie wiele pięknych rzeczy.  
Jednak mam nadzieję że pozostanie z nami, bo jest  
bardzo nieśmiała i nie lubi świata.

Zdało się że odgadwał myśli Gunther'a, który  
właśnie wówczas rozmyślał nad tem, aby nakłonić  
Irmę iżby przeniosła się do niego, obiecując utaić  
jej pobyt; i już zdawało mu się że widzi ją w domu  
swoim, siedzącą między żoną, jego i córką, i cieszył  
się że zajmie miejsce wychodzącej za mąż Pauli.

W lesie było ciemno, tylko gwiazdy błyszczały  
na firmamencie.

— Już po północy, rzekł wuj Piotr, gdy mijano  
strumień, księżyc już wschodzi; — dobrze że nie ma-  
my więcej nad pół godziny drogi.

Resztę drogi przebyli w milczeniu i nareszcie stanęli  
u drzwi chaty. Promień światła przedzierał  
się przez szparę w okiennicy. Gunther zsiadł z muła.

— Wejdę pierwszy, rzekł wuj Piotr, z cicha  
i uprzedzę ją o przybyciu pana doktora.

Gunther skinął głową; Piotr wszedł do chaty  
i wrócił za chwilę.

— Śpi, rzekł, ale policzki ma czerwone i rozpalone,  
i Gundel mówiła mi że we śnie często woła  
„Mój ojciec!“ i „Zwycięztwo!“ Widać ma jakiś miły  
sen.

Gunther wszedł do chaty; zadrżał zobaczywszy  
Irmę.

— Cóż to znaczy? rzekł do Piotra wskazując ma-  
łe sarnie leżące w nogach Irmy, które zobaczywszy  
obcego przyglądało mu się swojemi dziko — łagodnie-  
mi oczyma.

— To mała sarenka którą wczoraj podczas burzy  
znalazłem w lesie; Ermengarda polubiła ją bardzo.

Gunther prosił aby go samego pozostawiono z cho-  
rą, i cicho siadł przy łożu Irmy. Wziął ją za puls  
i dotknął jej czoła.

Piotr z wolna wsunął głowę przez drzwi uchylone.  
Jakże ją pan znajdujesz? zapytał.

Gunther smutnie potrząsnął głową. Piotr odszedł  
zbudził pastuszkę śpiącego w oborze, i kazał mu  
biedz natychmiast do fermy uwiadomić Jana i Wal-  
purgę że Ermengarda bardzo chora i prosić żeby  
przyszli co prędzej.

I znużony rzucił się na słomę, ale w krótko zerwał  
się i stanął pod oknem chaty. Gunther nie opu-  
szczał łoża chorój; przewróciła się kilka razy nie  
otwierając oczu; mała sarenka spała spokojnie w no-  
gach jej łożka.

Doktor wyniósł poprzednio lampkę, w pokoju więc  
było zupełnie ciemno.

— Dzień świta, widzę dzień, zawołała Irma, zry-  
wając się nagle.

Rzeczywiście błąd promień dzienny przedzierał  
się przez okiennicę.

— Chcę widzieć dzień! zawołała znowu Irma,  
a wuj Piotr stojący za oknem otworzył okiennicę.  
Światło wdarło się do izdebki. Twarz Irmy zajaśnia-  
ła radością, wyciągnęła do Gunthera obie ręce, a gdy  
pochwylił je w swoje dłonie, zaczęła z uniesieniem  
całować jego ręce.

— Spełniłaś wielkie i trudne zadanie, rzekł;  
uwielbiam moc i wzniosłość twego charakteru.

— O dziękuję panu; zdaje mi się że to ojciec mój  
przemawia do mnie przez twoje usta. Połóż rękę  
na moim czoło.

— Kładę rękę na czoło twojem i błogosławię cię  
w imieniu ojca twego; niech to błogosławieństwo  
uwolni cię już od bolesnego ciężaru, który dźwigałaś



— tak długo. I ojcowski pocałunek złożył na jej czole. Bóg z tobą, okupiłaś winę swoją.

Irma uspokoiła się jakby cudem; po za chatą, za jasną jutrenką, światło dzienne otaczało góry swym złoconym blaskiem.

Gunther dał Irmie wzmacniający kordyał; uczuła się silniejszą.

Wiem że umrę, rzekła pewnym głosem i dziękuję Bogu że umieram spokojna i przytomna.

Irma oddała doktorowi swój dziennik, prosząc aby nie wykonywano objawionej w nim woli co do miejsca wiecznego jej spoczynku; powiedziała że wuj Piotr wskaże miejsce w którym najlepiej lubiła prześadywać, i gdzie pragnie być pochowaną, z warunkiem aby na jej mogile żadnego nie stawiono nagrobka.

Gunther nie raz później wspominał, że w ciągu życia swego widział wiele umierających — ale nigdy nie zdarzyło mu się widzieć nikogo, coby tak piękną jak Irma umierał śmiercią.

## XVII.

— Ja to wiedziałam! ja to przeczuwałam! wołała Walpurga gdy się dowiedziała od postać o chorobie Irmie. Przeczuwałam że nie wróci już do nas, powtarzała załamując dłonie, a potem padła na kolana pochylając głowę na piersi.

— Wstań, rzekł Jan, kładąc jej rękę na ramieniu; nie upadaj tak na duchu; może jeszcze nie jest tak źle jak się lekamy, a w najgorszym razie nie ma czasu na płacz i lamenta, trzeba działać.

— Cóż ja mogę zrobić? coż mam czynić, rzekła podnosząc twarz zalaną łzami.

— Franciszek powiada że wuj Piotr sprowadził już doktora, który przywiozł z sobą lekarstwa, nie mamy więc co robić tylko jak najspieszniej udać się na Alm.

— O mój Boże! kroku postąpić nie mogę, nogi uginają się podemną.

— To zostań i połów się, pójdę sam.

— O nie, muszę iść z tobą.

— Dobrze pójdziemy zaraz po śniadaniu.

Jan miał tak szczęśliwe usposobienie, iż mógł jeść we wszystkich życia okolicznościach, powtarzał zawsze że gdy się ciało wzmożni pokarmem, łatwiej odważnie znieść cokolwiek wypaść może.

Skończywszy, wziął kij, kapelusz i torbę w którą włożył kawał chleba i ruszyli w drogę. Zaledwie uszli kilkanaście kroków, gdy mała Burga dobiegła ich, wołając że i ona chce koniecznie pójść do kuzynki Ermengardy.

Chcąc nie chcąc musieli zabrać ją z sobą, aby nie tracić czasu odprowadzając do domu.

— Nie dobre dziecko, zawołała Walpurga, będę musiała cię nieść, a takaś już duża i ciężka. I zaczęła iść przedkiosząc córkę na rękę.

— Puść ją, rzekł Jan, niech idzie sama, jak się zmęczy wezmę ją na ręce. Jakoż zaczął ją nieść, jak tylko droga stała się przykreszszą; niezadługo dziecko zasnęło.

— Teraz, Janie mój, rzekła z cicha Walpurga, muszę wyjawić ci prawdziwe nazwisko Ermengardy.

— Nie; raz jeszcze powtarzam, nie chcę nie wiedzieć chyba że ona sama mi powie jeśli żyć będzie, a jeśli umrze powiesz mi później...

— Jeśli umrze! zawołała; Janie ty wiesz coś więcej odemnie; postanowienie powiedział ci coś w sekrecie, powiedz prawdę.

— Daję ci słowo, że nie mi nie mówił.

— I czemuż mówisz o śmierci?

— Bo osoba bardzo chora, łatwo umrzeć może. Ale uspokój się, zupełnie tracisz głowę.

— Prawda, ale bo ani wiem co robić. Zatrzymajmy się chwilę. Jest już na almie doktor znający Ermengardę, niezadługo zapewne przybędą tam inne znające ją osoby... młody hrabia który był u nas jest jej bardzo bliskim krewnym... a jeśli się wszyscy zmówią aby zabrać naszą Ermengardę?..

— Jeśli sama dobrowolnie zechce pójść z nimi, to nie mamy prawa się sprzeciwiać, zapowiem im jednak z góry: że dopóki jest chora i nie może sama objawić swęj woli, nie dozwolę, aby ktokolwiek stanął bez niej o jej losie. Jestem jej opiekunem i nie pozwolę zrobić jej krzywdy.

— O! masz słusność kochany Janie, i zdało się że stanowczy ton mowy Jana dodał jej siły, bo śmiejąc i rażniej wstępowała na górę.

Kiedy doszli do źródła, Jan rzekł: Oto nasze źródło, toczące swe wody aż do miasteczka gdzie mieszka Stazja, blisko o milę drogi.

— Więc to tylko mila! zapytała Walpurga; kiedy tak to biegnę tam natychmiast. Tak będzie najlepiej. Idź z dzieckiem prosto do Almu, ja niezadługo przyjdę tam z miasta, gdzie pójdę szukać pomocy.

— Kobieto, czy rozum tracisz? chcesz biec do miasta będąc już tak blisko chorą?

— Tak, bo muszę ci powiedzieć że tam jest królowa, która sama jedynie może jej pomóc. Bóg z tobą, Janie, Bóg z tobą, Burgo, idźcie, ja wrócę niezadługo.

Jan z Burgą przybył do Almu. Gundel z ojcem powitali go smutnie.

— Jeszcze żyje, ale chwile jej już policzone, rzekł wuj Piotr ocierając łzy rękawem; — doktor nie pozwala nam wchodzić do niej. Gdzie Walpurga?

Przyjdzie niezadługo, odparł Jan, i zaraz kazał pastuchowi daleko odejść krowy, aby odgłos ich dzwonek nie niepokoił Irmie. Była to już ostatnia usługa jaką jej miał oddać. Usiadł smutny na ławeczce przed domem; podniósł z ziemi kawałek drzewa, machinalnie zaczął mu się przyglądać jakby jakieś osobliwości; przesiedział tak dość długo, nareszcie powierzył Burgo Gundeli, a sam wyszedł na drogę prowadzącą do miasteczka. Myślał że spotka żonę, ale nie mogąc się jej doczekać, powrócił przed chatę; wtedy właśnie doktor wychodził ze drzwi.

— Zapewnie jesteś Jan, właściciel fermy?

— Tak, a pan pewnie jesteś doktorem? Jakże się ma Ermengarda?

— Myślę że dożyje do wieczora.

Janowi łzy puściły się z oczu.

Wuj Piotr wszedł cicho do pokoju, wyniósł małą sarenkę, nakarmił, napoił i znów położył w nogach łóżka chorą.

— Otworzyła oczy i spojrzała na mnie, ale nie przemówiła ani słowa, i znowu zamknęła powieki, rzekł powróciwszy.

Jan prosił doktora aby mu pozwolił raz jeszcze zobaczyć Irmę, i wszedł za nim do chaty. Popatrzył na Irmę, i po cichu wyszedł z pokoju, płakał tak bardzo że aż uczuł ból serca.

— Wuj Piotr ma słusność, pomyślał. to już nie kobieta, to anioł.

I znowu skierował się ku drodze do miasta, ale niezadługo siadł w lesie pod drzewem. Płakał ciągle i wodził do koła obłąkanym wzrokiem, jak gdyby pytał czemu słońce tak jasno świeci, czemu ptaszki śpiewają i cała przyroda tak niezamąconym od-dycha spokojem.

— I po co Walpurga poszła do królowej? co tu królowa pomoże? czy nie lepiejby zrobiła zostając przy kochanej naszej Ermengardzie?...

## XVIII.

Nareszcie Walpurga doszła do miasteczka i zatrzymała się przed ratuszem, nad którym powiewała czerwona chorągiew. Chcąc się uspokoić i zebrać przytomność, spoczęła chwilę na skale przy źródle. Kukułka nadleciała, zakukała nad jej głową i poleciała ku górą.

— To zły znak, pomyślała.

Wstała i zatrzymała się przed kratą zamykającą dziedziniec; wkrótce postrzegła ślicznego, bogato ubranego chłopczyka; jego piękne jasno-blond włosy, pokrywał mały kapelusik z piórami. Serce zabiło jej gwałtownie, — rękami chwyciła się kraty, a po chwili skierowała się do drzwi wchodowych.

— Moje dziecko, moje dziecko! wołała, i przypadłszy do małego księcia, padła na kolana i objawszy dziecko w ramiona, zaczęła go ścisnąć i całować. Dziecko krzyknęło.

— Ach to głos jego, wołała w uniesieniu Walpurga.

Guwernantka księcia zbliżyła się przerażona i chciała oddalić Walpurgę; — służba się zbiegła. Dziecko ukryło główkę w fałdy sukni swęj guwernantki; Walpurga ciągle klęczała na murawie, nie miała siły powstać.

— Ach! nie poznaje mnie! zapomniał o mnie... a przecie ja go piersią moją wykarmiłam! wołała do obecnych rozdzielających głosem. I głos ten zdawał się dziwny wpływ wywierać na dziecko; odwrócił główkę, twarzyczka jego była zaróżowiona, łezka błyszczała na rzesach, ale się uśmiechał.

— Bóg z tobą, rzekł — słów tych nauczono go gdy wyjeżdżał na wieś.

— Powiedział „Bóg z tobą!“ umie mówić, mówić tak dobrze. O mój Boże! mój Boże! kochany, dobry książę! powiedz choć raz „Walpurga“ spróbuj czy potrafisz zawołać „Walpurga“.

— Walpurga powtórzył mały książę.

Nadeszła królowa w towarzystwie hrabiny von Brinkenstein i Pauli. Walpurga chciała mówić do niej, zabroniła ruchem ręki i kazała odprowadzić księcia, — odszedł, ale kilka razy odwrócił się do Walpurgi, która uśmiechała się do niego i wyciągała ręce, zapominając zupełnie że stoi przed królową.

— Przyszedł tu pomimo że musisz wiedzieć że nie chcemy cię widzieć, wiesz dobrze dla czego.

— Nie przyszedłam się usprawiedliwiać, ale dla innego, ważnego bardzo powodu, rzekła pokornie Walpurga.

— Czegoż chcesz? zapytała królowa.

— Pani królowo, mówiła przedkiosząc Walpurgę, za-trzymując się co chwila dla nabrania tchu; pani królowo, można być źle widzianą, posadzaną od wszystkich, a dla tego nie przestać być uczciwą. Pani królowo, mam kilka słów do powiedzenia, ale ty sama tylko słyszeć je możesz. W imię miłosierdzia i litości, błagam cię — a będziesz mi za to wdzięczną na twem śmiertelnym łożu, bo nie zapominać że i ty umierać musisz — pani królowo — błagam cię w Imię Boga, oddał wszystkich i posłuchaj mnie chwil kilka. Śpieszmy się, bo nie ma czasu do stracenia.

(d. n.)

## WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

*Powieść z dawnych czasów skreślił Maurycy Dzieduszycki. — Lwów 1868 r.*

Z prac historycznych szanownego autora można było przewidzieć z jakiego punktu zapastruje się na kwestje społeczne. Obecna powieść wydatniej to jeszcze pokazuje, a jednostronność ta, albo raczej stronność jeśli jest do wytłumaczenia w powieści o-byczajowej, społecznej, to nigdy nie powinna mieć miejsca w powieści historycznej. Strona artystyczna na wiele też zostawia do życzenia, tak iż książkę pana Dzieduszyckiego nie możemy nazwać ani powieścią, ani historją.

*Dykejonarz obejmujący wyrazy i wyrażenia z obcych języków polskiemu przyswojone i t. d. przez Michała Amszejewicza. Warszawa 1859, in 8 majori.*

Żeby nie wiem jak przestrzegał kto czystości w mowie i pisaniu, ustrzedz się nie potrafi mnóstwa obcych wyrazów i wyrażeń, które albo w pierwotnej postaci, albo przemienione weisnęły się do naszego języka. Kto zechce być *purystą* pod tym względem, stanie się często nierozumiałym, a zwykle śmiesz-nym. Niemcy, którzy mają język bardzo bogaty i w naturalnym rozwoju, pełną dłonią biorą wyrazy już nie tylko ze starożytnych języków, ale z nowo-czesnych, mianowicie z francuzkiego i angielskiego. Piękność i czystość jakiego języka więcej polega na wyrażeniach i zwrotach odpowiednich jego duchowi, niż na pojedynczych wyrazach. Ale wracając się do owego Dykejonarza, któregośmy tytuł wypisali, polecamy go naszym czytelnikom, jako wielce przydatny do zrozumienia książek prawnych, medycznych, filo-zoficznych, a nawet gazet i innych pism periodycz-nych. Jest on opracowany sumiennie, i chociaż przed kilku laty wydany, wcale się nie starzeje, a gdy i cena jego znacznie obniżoną została, warto mieć go pod ręką, zwłaszcza iż drugie, podobnej te-go rodzaju publikacji w naszym języku nie mamy.

*Komedje prozą i wierszem przez Tomasza Le Brun. — Warszawa. 1868 r.*

Nie są to właściwie komedje, bo nie ma w nich ani wydatnych charakterów, ani zgręcznie poprowa-dzonej intrygi, ale jak mówiono dawniej, są to kro-tochwile, w których żywy niekiedy dialog, dowcip i humor, niejednego czytelnika rozweselić może.



*Powódź, dramat w trzech aktach wierszem  
napisany przez Wincentego Pola. Poznań  
1868 r. in 8.*

Znakomity poeta, który stworzył w naszej literaturze gawędę poetyczną, zapragnął spróbować sił swoich w dramacie, i nie wątpimy, że obdarzyłby nas jakim arcydziełem, gdyby był wybrał inny przedmiot do swego utworu. I tak dziwić się musimy, że *powódź*, natury czysto opisowej, pod piórem Pola zmieniła się jeśli nie we właściwy dramat, to w prześliczny, udratyzowany poemat. Wiersz, który tylko autorowi *Mohorta*, *Przygód Benedykta Winickiego* i *Pieśni Janusza* jest właściwy, płynie tu sobie swobodnie, a jaki potoczysty, to nie do naśladowania. W *powodzi* są prześliczne obrazy, a nawet sceny po mistrzowsku wykonane. Objaśnienia na końcu książki bardzo się przydały, nie dla jednego czytelnika.

*Powieści dla młodocianego wieku p Antonine Machczyńskiej. Poznań r. 1868.*

Pisać dla dzieci i dla ludu nie tak jest łatwo, jak się na pozór wydaje. Zaledwie kilku autorów moglibyśmy w naszej literaturze wymienić, którzy stylem prostym i ożywionym przedstawieniem rzeczy, umieli się zastosować do pojęć i potrzeb swoich czytelników. Powieści p. Machczyńskiej zacnem i pocziwem sercem są dyktowane, ale wątpimy, aby zaintrygowały młodociane umysły, bo oprócz nie zawsze szczęśliwej formy za nadto są przepełnione moralami.

## O UBIORACH.

### Nowości zagraniczne.

#### *Petit courier des Dames.*

Upowszechnił się dziwny zwyczaj, że małe dziewczynki ubierają jak dorosłe osoby, — radzimy jednak czytelnikom naszym aby tego unikały, gdyż strój przesadzony, odbiera cały wdzięk dziecięcego wieku. Uważamy dla dziewczynki za właściwą gabryelkę, z czworograniastym wykojem u szyi; mogą ją nosić panienki do lat dwunastu.

Za okrywkę dają im płaszczki szkocki *Mac-ferlan* z dwoma pelerynkami, ze szkockiego tartanu w kratę. Na większe zimna, można go podszyc pasową flanelą, lekko podwatować, a nawet podszyc bielustkami. Widzimy także paletociaki watowane pluszowe z kapturkiem. Co do kapelusików najmodniejsze toczki aksamitne, przybrane kolorową kitką.

Chłopczyków starszych od lat 10 do 12, ubierają w prosty spencerek, kamizelkę i długie majtki. Kapelusz marynarski. Na okrycie służy *waterproof* z ciepłej wełnianej tkaniny *velours*, o dwóch dosyć długich pelerynach.

Młodszy chłopcom do lat siedmiu, dają bluzę wyszytą galonem, majtki szerokie i krótkie, pas skórzany, toczek szkocki do wyjścia.

Powiemy teraz o strojnych sukniach, dla dorosłych osób; forma ich zmieniła się zupełnie od zeszłego roku. Przód u nich bardzo płaski, tylne bryty mocno namarszczone, na to *camargo* czyli *pouf* podpięty w festony, wygarniowany koronką.

Na suknie strojne najmodniejszy atlas gładki, lub w aksamitne paski i gładki *poult de soie* w kolorach rubinowym, ametystowym, wina Bordeaux, błękitnym marynarskim, i zielonkawo-popielatym. Kolory ciemne w ogólności mają pierwszeństwo nawet do wielkiego ubrania.

Przytaczamy trzy całkowite ubrania, przygotowane na ślub w południowej godzinie, z magazynu sławnej pani Berengère.

Pierwsze ubranie. Suknia atlasowa koloru wina Bordeaux, powłóczysta, z takim samym wolantem. Nad wolantem rusza czarna atlasowa, wystrzygana w maszynie. Kamargo z czarnego pluszu w centki tego koloru jak suknia, wygarniowane koronką Chantilly, podpięte w festony kokardami atlasowymi. Stanik z pluszu i atlasu, to jest wycięty pluszowy gorsecik, na wysokim staniku atlasowym. Na wykoju pluszowego gorsecika, dana czarna koronka stojąca w górę, jak u sukien z czasów pierwszego Cesarstwa. Ozdobę tę dziś nadzwyczaj modną zowią *chérusque*. Na głowę toczek z koronki czarnej przy-

brany egretką białą, i kwiatem odpowiedniego do sukni koloru.

**Drugie ubranie.** Suknia jedwabna mieniona, w kolorze zielono-piołunowym a kamargo z koronki czarnej ogarniowane czarnym wolantem, nad nim rusza ze strzyżonego atlasu koloru sukni. Festony podpięte kokardami. Kapelusz czarny koronkowy fanszonik, podniesiony wysoko w górę. Diadem nagarniowany koronką w środku wpięty ptak w bardzo żywych kolorach.

**Trzecie ubranie.** Spódnica cokolwiek powłóczysta, zaokrąglona jak ogon pawia, z ciężkiej materji w kolorze porzeczkowym i czarnym. Dwie spódniczki jedna nad drugą obie ogarniowane ruszą jedwabną czarną, z czarnym koronkowym brzeżkiem. Stanik przyfałdowany z przodu i z tyłu, dosyć wolny, przepasany szeroką szarfą czarną z brzeżkiem koronkowym. Kokardy od szarfy, szły trzema rzędami z tyłu sukni, tworząc jakby kaskadę.

Suknie terazniejsze dosyć są krótkie z przodu, tak że widać trzewiczek czarny atlasowy, lub jedwabny koloru sukni. Trzewiczek przybrany zwykle bywa szeroką kokardą, albo rozetką czarną koronkową. Obcas u niego wysokie, najczęściej czerwone. Pończoszki jedwabne, koloru sukni służą na wizyty lub obiady prozzone — na wieczór białe ażurowe.

Obuwie na rano składa się z bucików kozłowych i pończoszek wełnianych w paski, lub kratę szkocką. Do cokolwiek większego ubrania noszą buciki ze skóry świecącej, przybrane lawowymi guzikami, noszą też buciki ze skóry angielskiej w kolorach, chrabaszczowym, fioletowym, popielatym, zastosowane do koloru sukni. Do domowego ubrania przyjęte głębokie trzewiczki pluszowe, w kolorach fioletowym, zielonym, i t. p. przybrane wielką kokardą atlasową, przeciągniętą przez klamrę.

Co do biżuterji noszą ogólnie medaljon złoty emalowany, zawieszony na krótkim łańcuszku złotym. Noszą go równie do wyciętych jak i do wysokich sukien. Używane są także naszyjniki złożone z kilku rzędów paciorek, malakitowych, lapis lazuli, bursztynowych albo ametystowych. Sznurki te zawieszono są coraz w niższych odstępach. Można je kłaść na suknie pod szyję, lub na białe muszlinowe staniki.

### Opis kaftanika nocnego, majtek damskich, koszuli damskiej i nocnego czepeczka.

#### *Kaftanik nocny z perkalu.*

N. 1a.) Przednia część kaftanika (dwa razy założenie N. 1b.) żona).

N. 2. Połowa pleców.

N. 3. Połowa kołnierzyka.

N. 4. Rękaw.

N. 5. Całość kaftanika.

Przody cienkiego perkalowego kaftanika, ozdobione są 4 zakładkami idącymi z każdej strony szerokiego przedniego obrębu od góry, do samego dołu. Prócz tego, górna część kaftanika tworząca karczek, składa się z samych zakładczek, pod którymi oddzielone poprzecznie przystembnowaną listewką, widać tylko same zmarszczki. Odłożywszy założenie N. 1b. krajać trzeba podług N. 1 po dwie części, prawy przód jednak do kropkowanej dochodzący liniiki, podług N. 2 i 3 po jednej części w całości, podług N. 4, rękawy (każden z dwóch połówek złożony) dodając wierzchniej części rękawa tyle perkalu, ile potrzeba na zrobienie 5 zakładczek danych u dolnego brzegu. Załamując wzdłuż kropkowanej liniiki, lewy przód z brzegu, podszyna się szeroki obręb, uważając aby dwa krzyżyki umieszczone na formie przypadały jak należy. Następnie daje się 4 zakładki do dołu idące, do czego dołączamy objaśnienie, że gładkie liniiki, powinny się zakładać zawsze na linii kropkowanej formy. Dalej rozcina się materiał wzdłuż podwójnej liniiki, górną część od kropki do kropki szyjąc w równe zakładczki nadaje się mu formę karczka przedstawionego pod N. 1b. dolną od A do B drobno marszczy i łączy z karczem, przystembnowaną poprzeczną listewką. Szwy lewej strony, pokrywają się perkalowymi pliskami. Plecy i przody trzeba zeszyć na ramionach i pod pachami podwójnym szewkiem, podług wskazówki odpowiadających liter. Dół kaftanika, otrzymuje 1½ cent. szeroki obrębek. Naśladowując obręb lewego przodu, do prawego przystembnowywa się garnirowany pasek, 3 i pół cent. szeroki, złożony z 4 zakła-

dek danych po dwie z obu brzegów, z 1 cent. szerokim w środku odstępem. Wążka haftowana szlarka, otacza z dwóch stron, pomieniony pasek, przez środek którego, wypada porobić dziurki do guzików, umieszczonych na obrębie lewego przodu. Wykrój szyi wypustką oszty, ozdabia stojący kołnierzyk z podszewką i haftowaną szlarką u góry, przyszyty podług odpowiadających liter. Rękawy podług ryciny ubrane, zszywają się razem od I do K, i od L do M. podszynając dół ¾ cent, wążką listewką, która pokrywa brzegi haftowanej, szlarki, przeszyciej na prawej stronie stembnówką. Trafiając M przódów na M rękawa wszywa się go w pachę.

#### *Majtki damskie.*

N. 6. Połowa majtek (z jednym założeniem)

N. 7. Połowa paska do stanu.

N. 8. Połowa paska do nogawek.

N. 9. Całość majtek.

Majtki te dymkowe lub perkalowe wiązane z tyłu, ozdobione są 5 centymet. szeroką haftowaną szlarką marszczoną, połączoną z nogawkami wążkim paskiem, spiętym z boku przy rozporku na guzik i dziurkę. Złożywszy materiał na połowę, kraje się podług N. 6 (z rozprostowaniem założeniem) dwie części, uważając na wykrój przedniej części majtek. Każda część krytym szwem od N do gwiazdki razem złączona podszyna się od gwiazdki do dołu, wzdłuż rozporka nogawki 2 cent. szeroką tasiemką, poczem marszczy u dolnego brzegu, wszywając podług liter między dwa brzegi podwójnego paska N. 8 ozdobionego z drugiej strony również marszczoną i haftowaną szlarką. Brzegi każdej części w koło wykroju podszynają się 2 cent. szerokim dymkowym ukosem, poczem obie części łączą się z sobą od O do kropki. Górny brzeg zmarszczony, przyszyć trzeba do paska podług odpowiadających liter. Pasek przykrajany w całości z dymki i perkalu podług N. 7 spaja się w górnym brzegu wraz z podszewką, dolny zaś opatrzone wypustką przyszywa się do marszczek, uważając aby O i P obydwóch części, dobrze z sobą pasowały. Tasiemki do wiązania stanowią udogodnienie tych nader praktycznych majtek.

#### *Damska koszula.*

N. 10. Połowa stanu przódów i pleców.

N. 11. Połowa rękawa.

N. 12. Połowa karczka.

N. 13. Całość koszuli.

Cienka płócienna koszula, ozdobiona jest przy karczku i rękawach paskiem w zęby z zakładek złożonym i haftowaną batystową szlarczką. Pasek ten, zastąpić można innym, z materiału w wrabianemi matowymi prążkami, naśladowanymi zakładki. Chcąc uniknąć zachodu z pomienionym garniunkiem w zęby, kraje się karczek gładki zupełnie z płótna, dając u góry szlarkę albo koroneczkę. Na koszulę kraje się tył i przód podług N. 10 w całości, wyliczywszy naprzód długość wymagalną i uważając aby nitki płótna wypadały w prostym położeniu, na karczek tak samo zastosowany, kraje się podług N. 12 w całości dwie części; na rękawy N. 11 przykrawa się 4 cząstki. Najwpierw rozcina się od górnego brzegu do gwiazdki rozporek, w stanie na przód przeznaczonym, przyszywa się do lewego brzegu 3 cent. szeroką, podwójną, płócienną listewkę, stembnując na prawym, 4 cen. szeroki pojedynczy kawałek płótna, żeby po za brzeg wspomniany na pół cent. wystawał. Poprzeczną stroną paska u dołu stembnuje się na dodanej do lewej strony listewce, którą się potem na koszuli podwiera. Następnie zeszywają się stany, krytym szwem, od S do dolnego brzegu, obrębnego w około i marszczy brzeg górny, zaczynając od środka do kropki, po obu stronach danej, i rozszerzając marszczki stosownie do szerokości karczka. Na tym jak również na krótkich rękawach, przyfastrzygomywa się pasek w zęby z zakładczek, wycina pod nim płótno, i daje w koło zębów ukośny paseczek, który z dwóch stron na prawej stronie przystembnowany, utrzymuje wszystko w całości. Brzegi wyciętego płótna podwierać pod nim należy. Rękawy zeszyte razem od S do T, i ozdobione szlarczką, przytwierdzone ukośnym paskiem, przyszywają się szerokim francuskim szwem podług odpowiadających liter do stanu, żeby spiczaste ich końce aż do krzyżyka na N. 11 zakładały się na siebie. Następnie obydwie karczki, zeszywają się krytym ścięciem u góry i z boku; między dolne brzegi karczka, wsuwa się górny brzeg stanu, zmarszczony, niewyłączając rękawów, a zwróciwszy uwa-



gę na odpowiednio przypadające litery, fastrzyguje się razem. Brzeg karczka w około, pokrywa się ukośną pliską, z dwóch stron mocno przystembnowaną; podobna pliska, pokrywa przyszyte haftowaną szlarkę u górnego brzegu karczka, zapiętego z przodu na dziurki z guzikami.

#### Nocny czepek z przymarszczoną główką.

- N. 14. Połowa czółka.  
N. 15. Połowa główki.  
N. 16. Połowa paska.  
N. 17. Całość czepka.

Czepek ten z cienkiego płótna składa czółko i główka przymarszczona u dołu i wszyta w paseczek, służący zarazem do nawleczenia tasiemki, ściągającej czepek. Dla złożenia całości kraje się z płótna lub perkalu, biorąc materiał w prostym położeniu nitek, po jednej części w całości, podług form N. 14 do 16. N. 16 (pasek) powinien być podwójny, składając materiał we dwoje, które to złożenie stanowić ma dolny brzeg, przykrajanego paska. Najpierw czółko podszywa się z przodu i po bocznych stronach 2 cent. szerokim paskiem materiału, przyfastrzygowany zewnętrznym brzegiem do brzegu czółka, z drugiej swojej podłużnej strony zakłada się wążutko i przestembnowywa, dając stembnówkę na drugiej stronie czepka. Brzeg tak wzmocniony trzeba w około obdziergać, dając w ząbku każdym dziurkę (jak to N. 17 wskazuje) i złączyć następnie z denkiem czepka, podług odpowiednich liter, dwoma rzędami stembnówki, żeby oba brzegi zakładały się na siebie mniej więcej na pół cent. Dół czepka, marszczy się podług szerokości podwójnego paska, między brzegi którego, wszyć marszczki należy. W samym środku paska, robią się po lewej stronie dwie dziurki, dla przeciągnięcia tasiemek ściągających czepek. Końce tasiemek, przytwierdzają się mocno do przestembnowania, łączącego czółko z denkiem. Szarfę do wiązania 50 cent. długie, mają dolny brzeg zaokrąglony dzierganymi ząbkami 8 cent. szeroki, górny zaś tylko 5 cent. trzymający, zakłada się w rodzaj fałdki. Podłużne strony szarfeł obrebają się.

Objaśnienie znaków na tablicy krojów, do rycin przedstawionych w numerze 44 i 45 Tygodnika Mód.

#### N. I. Bluzka pod szyję z oznaczeniem formy na gładki stanik.

Miara modelu w połowie 38 cent. u dołu, w stanie 55 cent. u góry.

- Fig. 1. Przednia część.  
Fig. 2. Boczek.  
Fig. 3. Połowa pleców.  
Fig. 4. Rękaw.

Rycina i opis N. 7 i 9 w Tygodniku Mód N. 44 i rycina 30 w N. 45 Tygodnika Mód.

#### N. II. Okrycie w kształcie peleryny.

Fig. 5a. Połowa przodu.

Fig. 5b. Połowa pleców. N. 5c. Całość formy w zmniejszonym formacie, złożonej z obydwóch części. Mantyla ta skrzyżowana na piersiach i spięta końcami z tyłu, wielce okazała się dogodną, przy chłodnej porze jako okrycie do teatru. Odpowiednio do pory, można użyć najrozmaitszych materiałów kaszmiru „chaly” albo jak na naszym modelu białej flaneli, podszytej dla lepszego układania się fałdów jedwabną podszewką. Jako oszyte dobrze wygląda plecionka wełniana czarna, z wełnianą frendzlą, złożoną z plecionych warkoczyków z kwasicami włóczki 7 cent. długą, jak również angorowa lub jedwabna frendzla odpowiadająca kaszmirowi. W miejsce plecionki użyć można atlasowych plisek lub aksamitkę. Z powodu małych rozmiarów dodatku, nie mogliśmy formy N. 5 w całej długości narysować, dla łatwiejszego więc zrozumienia N. 5 c podaje całą rozłożoną część, przez co ułatwia wycięcie formy z papieru, gazy lub muslinu. Mantyla z materiału przykrojona, zeszywa się tylko na ramionach i w samym środku pleców, na którym to szwie, robią się fałdy zakładając krzyżyk na kropce, umieszczone na podanej formie. Rozetki ozdabiające mantylę, oszy-

tą u dołu frendzlą i plecionką, składają się z 5 cent: szerokiej listewki materiału, w ząbki wycinanej u rękawicznika, kontrafałdowanej i układanej w około, na sztywnej tiulowej podstawie, 3 cent: średnicy łączącej.

#### N. III. Stanik podłużnie wycięty i ukośno zapinany dla panien od 12 do 15 lat.

Miara modelu w połowie 30 cent. u dołu w stanie, 38 cent. u góry.

- Fig. 6. Przód.  
Fig. 7. Boczek.  
Fig. 8. Połowa pleców.  
Fig. 9. Rękaw.

Rycina i opis N. 5 w Tygodniku Mód N. 44.

#### N. IV. Suknia dla dziewczynki do 3 lat.

Fig. 10. Urządzenie fałdów do gładkiej przedniej i tylnej części sukienki.

- Fig. 11. Bok.  
Fig. 12. Naramnik.  
Fig. 13. Połowa rękawa.

Rycina i opis N. 20 w Tygodniku Mód N. 45.

#### N. V. Bluzka marynarska dla chłopca do 3 lat.

- Fig. 14. Przednia część sukienki.  
Fig. 15. Połowa pleców.  
Fig. 16. Połowa kołnierza.  
Fig. 17. Rękaw.

Rycina i opis N. 21 i 22 w Tygodniku Mód N. 45.

#### N. VI. Długa sukienka dla małego dziecka na rękach.

- Fig. 18. Połowa karczka do przodu.  
Fig. 19. Naramnik.  
Fig. 20. Rękaw.

#### N. VII. Karoczek do bluzki albo gładkiego stanika.

Fig. 21. Część karoczka.

Rycina i opis N. 31 w Tygodniku Mód N. 45.

#### N. VIII. Turniura z włosia.

Fig. 22. Połowa podkładu.

Obfity spadek fałdów w tyle sukien, czyni niezbędną zarzuconą przez długi czas turniurę, choćby nawet pod suknie nie konieczne à paniers. Figura 22 podaje formę gładkiego spodu, na którym układa się dopiero włosienka kontrafałdowana falbana, albo też trzy fałdowane falbanki ze sztywnego perkalu.

#### N. IX. Strojny czepek.

Fig. 23. Połowa czółka.

Rycina i opis N. 19 w Tygodniku Mód N. 44.

#### N. X. Czepek negliżowy.

Fig. 24. Połowa czepka.

Rycina i opis N. 23 w Tygodniku Mód N. 44.

#### N. XI. Zmniejszony krój wierzchniej spódnicy do wizytowej sukni „à paniers”.

Rycina N. 24 w Tygodniku Mód N. 44.

Fig. 25. Połowa przedniego bryta.

Fig. 26. Boczny bryt.

Fig. 27. Połowa tylnego bryta.

Opis spódnicy urządzonej „à paniers” podług wskazówek matęj formy, podanej od N. 25 do 27.

Najprostszy sposób krajania spódnicy, wymaga żeby tylne bryty zupełnie pozostały proste. Mała forma dokładne daje wyobrażenie jak krajać potrzeba bryty, przypuszczając że materiał trzyma 70 cent. szerokości. Cała szerokość wystarcza na bryt przedni N. 25, który w górze podwójnie złożony 15 cent: wynosić powinien, i więcej lub mniej stosownie do długości, ma ukośno strony ścięte. Boczny bryt

N. 26, ma w górze 16 cent. szerokości; (odliczając 3 cent: które do przodu skroić wypada), prócz tego na dole powinien być o 10 cent: szerszy niż połowa we dwoje złożonego materiału, czyli że wynosi u dołu 45 cent: szerokości. W materiałach na obie strony jednakowych, bryt po drugiej stronie przedniego będący, przykroić można z odpadłego kawała, inaczej można go użyć na stanik. Tylne bryty pozostają proste. Podwójna spódnica „à paniers” licząca u dołu 230 cent: szerokości, bierze tylko jeden bryt z tyłu spódnica okrągła kostiumowa 2 — 2½; spódnica z trenem 3 — 4 brytów w tyle. Obliczona liczbami centymetrów, szerokość długość spódnicy N. 25 — 27 służy jako miara wierzchniej spódnicy, przedstawionej pod N. 24 w N. 44 Tygodnika Mód; boczne bryty od N. 28 do 86 na Fig. 26 położonych, układają się w trzy wielkie fałdy, przypadające przy zeszytciu gładkiego przedniego bryta. Mała forma wskazuje jak bryty z sobą zeszywać należy.

#### Opis ryciny paryżkiej.

Fig. 1. Suknia jedwabna z wolantem w kontrafałdy oddalone w górze od siebie, zczepiane u dołu, nad nim wążka rurkowana falbana. Powyżej plisa atlasowa odwrócona w górę na każdym brycie. W środku guziki atlasowe. Oprócz tego na wszystkich brytach zęby naszyte z koronki przytwierdzone rulonem atlasowym. Tunika płaska wygarniowana koronką, naszyta plisami. Kołnierzyk z przymarszczoną walansienką, także mankietki; na głowie rozeta ze wstążki szafirowej atlasowej z końcami. Fig. 2. Kostium z materji czarnej fioletowej. Pierwsza spódniczka fioletowa z wolantem. Na to czarna, zakończona falbanką fałdowaną, przybrana plisami z materji fioletowej. Trzecia krótka spódniczka czyli pouf przymarszczona na każdym brycie, ujęta w plisy czarne. Stanik gładki, na nim gorsecik czarny z taczkami. Kokardy z wstążki pouf de soie lub atlasowej. Kapelusik aksamitny przybrany atlasem fioletowym.

— W dalszym ciągu wydawanego nakładem redakcji Przeglądu Tygodniowego zbioru Wiedza, wyszedł zeszyt VI i zawiera: O przesądach i Mistycyzmie w Medycynie przez Zygmunta Rosensteina profesora w Groumgen przełożył Wł. Sab. cena kop 15 (złp 1). Dotychczas wyszły Schulzego z Delitsch. Obowiązki i prawa społeczne, cena ko. 12½ (25 gr). J. E. Bluntschli. Znaczenie i postęp prawa narodów c. 25 k. (50 gr) J. Engla cena pracy k. 25 (50) W. A. Lette kwestja mieszkań 15 k. (1 złp.) F. M. Holtendorffa. Ulepszenia w społecznym i ekonomicznym położeniu kobiet c. k. 20 (40 gr) W następnym 7 i 8 zeszytzie pomieszczone będzie Filozofia sztuki paryżkiego profesora Tainc'a. Całość dzieła na prenumeratę kosztuje rs. 2. Zeszytów będzie 12. Adresować należy. Redakcja Przeglądu Tygodniowego ul. Nowolipie N. 2414/15.

#### Korespondencja.

Pani Alinie R. Do przystrojenia sukien najczęściej używane pliski z atlasu, pluszu albo baranka siwego do kostiumów sukiennych.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemińskiego.

Do numeru dzisiejszego dołącza się rycina Paryżka kolorowana i tablica z krojami oznaczona N. 23 do wzorów znajdujących się w N. 44 i 45 Tygodnika Mód.



TYGODNIK MÓD  
w WARSZAWIE.  
Rok 1868. N<sup>o</sup> 21.

- 1 Szlak na poszewkę  
2 i 3 Kółnierzyk i mankiet. Doseri do wysejcia  
czarną bawełną ściągciem nickey/kanstym  
4 i 5 Kółnierzyk i mankiet na haft atlasko-  
wy.  
6 Szlak na obrus do otłarza. Aplikacja  
muslinowa na tiulu  
7, 8, 9 Doseri na wstawki  
10 do 14 Litery ABCDEFGHIJKL stosowane  
do szlaku na poszewki  
15 Doseri na wstawki  
16 Alfabet do znaczenia chustek do  
nosa.







Stanik pod szyję garnirowany ruszycą  
1. Przednia część stanika  
2. Boczki  
3. Półowa pleców  
4. Rękawa

5. Całość stanika  
Stanik pod szyję z ramieniem  
6. Przed stanika  
7. Mankiet  
8. Całość stanika

Stanik z podłużnym wycięciem  
9. Przed stanika  
10. Bułka do rękawa  
11. Całość stanika  
Stanik z okrągłym wycięciem  
12. Przednia część stanika  
13. Całość stanika

Kołnierzyk stojący z żabotem  
14. Część żabota do kołnierzyka  
15. Całość kołnierzyka z żabotem  
Kołnierzyk stojący z żabotem  
16. Półowa żabota  
17. Całość żabota